

ALFRED HITCHCOCK

DOLINA ŚMIERCI

NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: MIRA WEBER)

SIEDMIORÓG 1998

ROZDZIAŁ 1

PODNIEBNY LOT

Późnym porankiem mała jednosilnikowa cessna leciała ponad bezkresnym zielonym morzem sosen, porastających stoki Sierra Nevada w Kalifornii. Między górami rozciągały się szmaragdowe doliny, granitowe szczyty lśniły w promieniach słońca.

Bob Andrews przyłożył do oczu lornetkę i wyglądał przez okienko w kokpicie. Zajmował miejsce obok pilota, którym był jego ojciec.

- Coś idzie przez łąkę - oznajmił w pewnej chwili chłopiec. - Widzicie?

Pete Crenshaw trącił łokciem Jupitera Jonesa i puścił do niego oko. Dwaj przyjaciele siedzieli w fotelach dla pasażerów, tuż za panem Andrewsem i Bobem. Posługując się na zmianę jedną lornetką, także wyglądali przez okienka i podziwiali z wysokości kolejne górskie wierzchołki.

- Słuchaj, to jakaś dziewczyna - powiedział z poważną miną Pete, zwracając się do Boba. - Niezła sztuka. Chyba zaraz pomacha ci ręką.

- A potem poprosi o numer telefonu. - Jupiter uśmiechnął się szeroko.

- I będzie się martwić, czy masz dziś wolny wieczór - dodał Pete.

- Czy w Diamond Lake są jakieś kina, panie Andrews? - spytał Jupe z miną niewiniątka. - Bob raczej będzie zajęty. Ja i Pete musimy coś ze sobą zrobić.

Pan Andrews zachichotał.

Boh opuścił lornetkę.

- To była puma, jeśli chcecie wiedzieć. - Odwrócił się i spojrzał na przyjaciół. Był przystojnym chłopcem; miał zmierzwioną blond czuprynę, ciemnoniebieskie oczy i powabny uśmiech. Gdziekolwiek się pojawił, jak spod ziemi wyrastały wokół niego dziewczęta i nie odstępowały go na krok. - ŚmieJCie się z samych siebie. Ja nie należę do tych, którzy muszą prosić panienkę o zgodę na wyjazd.

- Kto musi? - odparł niedbale Pete. Wolał zapomnieć, że w Rocky Beach tłumaczył się gęsto swojej dziewczynie, Kelly Madigan.

- A kiedy już umawiam się z któraś - tym razem Bob skierował swoje słowa do Jupe'a - nie zanudzam jej na śmierć szczegółowymi opisami struktury atomu.

- Mówiła, że chce poznać wszystko od podstaw - gorączkowo odparł Jupe. Uniósł podwójny podbródek i z wyzwaniem w oczach spojrzał na Boba.

Pan Andrews ryknął śmiechem. Policzki Jupe'a pokryły się rumieńcem. Dopiero w tym momencie zrozumiał, co naprawdę dziewczyna miała na myśli. Zaczął rechotać głośno wraz z przyjaciółmi, chociaż w jego głosie brzmiało lekkie zakłopotanie. Odznaczał się niewątpliwie dużą inteligencją, jednakże dziewczyny wciąż stanowiły dla niego zagadkę.

Ostrożnie wstał z fotela. Wyglądem nie przypominał w niczym gwiazdy rocka. Miał okrągłą twarz, proste czarne włosy, dla zamaskowania tuszy nosił obszerną koszulę legii cudzoziemskiej. Wierzył, że pewnego dnia ścisła dieta, której przestrzegał, przyniesie rezultaty. Na razie lubił mówić o sobie, że jest krzepki. Brzmiało to o wiele lepiej niż "tłusty".

Kabina cessny była dość niska. Jupe pochylił się i przesunął w stronę ogona samolotu, gdzie leżały wymieszane bezładnie różne pomocnicze przyrządy i narzędzia.

- Co robisz, Jupe? - spytał Pete.

- Szukam dodatkowej lornetki - odparł Pierwszy Detektyw. - Chcę znaleźć odpowiednią dziewczynę, która zna już teorię względności.

W niewielkiej kabinie po raz kolejny rozległ się serdeczny śmiech i tym razem Jupe śmiał się najgłośniej ze wszystkich. Letni weekend dobrze się zaczynał. Słońce świeciło jasno, na błękitnym niebie nie było śladu chmur. Chłopcy mieli przed sobą jeden, dwa lub nawet trzy dni beztroskiego pobytu w jednym z najbardziej eleganckich górskich kurortów w Kalifornii. Wszystko zależało od tego, ile czasu zajmie panu Andrewsowi zdobycie materiałów do nowego reportażu. Teraz unosili się w przestworzach, a wszystkie codzienne sprawy zostały daleko, w Rocky Beach. Nic nie mogło im przeszkodzić w korzystaniu z uciech tego świata. Chlubą Diamond Lake było mistrzowskie pole golfowe i basen o olimpijskich rozmiarach. Znajdowały się tam również wspaniałe korty tenisowe, sauny, stajnie pełne koni, znakomicie przygotowane pola namiotowe. Nie brakowało nawet pasa startowego. Do kurortu przylatywały regularnie prywatnymi samolotami różne znakomitości i bogaci szefowie resortów. Diamond Lake także dla nich stanowiło doskonałą ucieczkę od codziennych trosk.

Jupe hałaśliwie przetrząsał leżące w tyle samolotu torby z narzędziami.

- Może dzięki lornetce wypatrzę informatora pana Andrews - zażartował. - Jak on się nazywał?

- Tego wam nie mówiłem - zastrzegł się natychmiast ojciec Boba.

- Wydało się! Pański informator jest mężczyzną! - zawołał Jupe. - Powiedziałem: "on", a pan nie zaprzeczył. Mamy pierwszy ślad, chłopaki!

- Bzdura - odparł pan Andrews, ale się uśmiechnął. Jupe miał rację.

- No mów, tato - ponaglił ojca Bob. - Kim on jest? Nikomu nie zdradzimy.

- Przykro mi, ale to tajemnica. - Pan Andrews potrząsnął głową.

Ojciec Boba był szczupłym, dobrotliwym człowiekiem. Miał trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Ciągłe był nieco wyższy niż jego syn, ale już wkrótce Bob miał szansę go prześcignąć. Nosił ciemne okulary, czapeczkę z emblematem baseballowej drużyny z Los Angeles i granatową wiatrówkę. Z górnej kieszeni tej wiatrówki wystawało z pół tuzina długopisów.

- O czym pan będzie pisał? - zapytał Pete. - O jakimś wyczynowcu, trenującym na dużych wysokościach w Diamond Lake? - Pete, urodzony sportowiec, interesował się ćwiczeniami fizycznymi o wiele bardziej niż jego przyjaciele. Był wysokim, dobrze umięśnionym młodym człowiekiem; dzięki jego sile Trzej Detektywi nie raz wydostawali się z trudnych sytuacji. - Już wiem! O bokserze! W następnym miesiącu zaczynają się stanowe mistrzostwa w boksie.

- Nic ze mnie nie wyciągniecie. Reporter musi chronić swoich informatorów - przypomniał chłopcom pan Andrews.

- Wiemy, wiemy - westchnął Bob. - Bo tylko dzięki ich pomocy często jest w stanie poznać całą historię - powtórzył słyszane milion razy słowa.

- A jeśli reporter ujawni źródła informacji, natychmiast wyschną! - Pete zakończył znajomy refren.

- Rozumiemy, jak ważne jest dochowanie sekretu - zapewnił pana Andrewsa Jupe - i może pan na nas polegać. Nie piśniemy nikomu ani słowa.

- Pewnie! - Pan Andrews uśmiechnął się szeroko. - Nie można powiedzieć tego, czego się nie wie!

Trzej chłopcy jęknęli. Pan Andrews miał nieugięty charakter. Nic dziwnego, że był jednym z najlepszych reporterów głównego dziennika wychodzącego w Los Angeles. W żaden sposób nie dało się go skłonić, by zdradził choćby najmniejszy szczegół sprawy, nad którą pracował.

Dzień wcześniej Bob podsłuchał, jak ojciec ustalał z kimś, że skorzysta z jednego z małych samolotów należących do wydawnictwa, by polecieć do Diamond Lake z jakąś specjalną misją. Chłopiec zorientował się, że sprawa została nagrana, ale umknęło jego uwagi przez kogo i o co dokładnie chodziło.

- Jak w ogóle cię przekonałem, byś pozwolił nam z tobą polecieć? - dziwił się Bob.

- Zadziałał twój nieodparty czar - odparł pan Andrews. - Ten sam, którym zniewalasz wszystkie dziewczyny. - Posłał synowi spojrzenie pełne podziwu, po czym dodał srogim tonem: - I szczerą obietnicą, że będziecie pilnować własnego nosa. Przypominam, że to nie jest sprawa dla Trzech Detektywów.

Chłopcy pamiętali o tym. Od lat prowadzili własną półprofesjonalną agencję detektywistyczną - półprofesjonalną dlatego, że byli niepełnoletni, pracowali bez stanowych licencji i nie mieli prawa pobierać opłat za wykonane zadania, jednakże nigdy nie mogli się oprzeć pokusie rozwikłania tajemniczej zagadki. Niedawno skończyli po siedemnaście lat, a zdążyli już rozwiązać wiele zawyłych spraw, wyjaśnić sporo dziwnych zdarzeń i nawet oddać w ręce sprawiedliwości paru złodziei i kanciarzy.

- Niech pan się nie martwi, jesteśmy na wakacjach - uspokoił pana Andrewsa Pete.

- Dwa razy "o" - zgodził się z kolegą Jupe. - Odpoczynek i odprężenie.

- Odpoczynek i odnowa - poprawił Pete.

- Oraz kobiety - zażartował Bob. Odwrócił się do przyjaciół i wyszczerzył zęby.

Jupe cisnął piłką, która z głośnym plaśnięciem odbiła się od twarzy Boba.

Pete chwycił Boba za ramiona i przycisnął do fotela. Chłopiec zaczął się szamotać.

- Nie po to zrezygnowałem z trzech dniówek, żeby mnie tak traktowano! - zdołał w końcu wykrztusić.

Chcąc wybrać się na tę wycieczkę, wziął wolne dni w agencji wyszukującej nowe talenty rockowe, w której pracował. Pete nie dokończył naprawy starego studebakera. Zamierzał go odsprzedać Tayowi Casseyowi, znakomitemu mechanikowi samochodowemu, kuzynowi Jupitera. Jupiter natomiast musiał wydrukować w dwóch kopiach kompletny wykaz przedmiotów, znajdujących się na terenie składu złomu Jonesów, rodzinnego interesu, który prowadzili krewni Jupe'a, ciotka Matylda i wuj Tytus. Jupiter zapisał w pamięci komputera dane dotyczące stanu inwentarza składu, lecz ilekroć wujek lub ciotka chcieli z nich skorzystać i sami próbowali je wydobyć, zawsze niechętnie kasowali założone pliki.

Wszyscy trzej chłopcy pracowali latem i zdołali oszczędzić trochę pieniędzy, dzięki czemu mogli sobie teraz pozwolić na wyprawę do kurortu. Stać ich było na

opłacanie skromnych posiłków, jak również noclegów, bowiem pan Andrews zgodził się, żeby do jego pokoju wstawiono dodatkowe składane łóżka. Z hotelowego basenu można było korzystać za darmo, a przyjaciele mieli nadzieję, że znajdą w Diamond Lake także inne rozrywki dostępne dla ich kieszeni.

- Chłopaki, warto na to popatrzeć - odezwał się pan Andrews. - Widzicie tę dolinę?

Bob przykleił do oczu lornetkę, po czym podał ją Pete'owi. Obaj chłopcy wyciągnęli się w stronę okna, by razem podziwiać widok.

- Mogę zejść niżej, byście przyjrzeni się z bliska - oznajmił pan Andrews. - Jesteśmy już niemal w Diamond Lake.

Samolot zanurkował, silnik warkotał rytmicznie.

Jupe zrezygnował z szukania zapasowej lornetki i wrócił na swoje miejsce za pilotem. Spojrzał na leżącą w oddali wąską zieloną dolinę, usytuowaną niemal dokładnie na linii północ - południe. Otaczały ją wysokie, pionowe ściany z granitu. Na południowym krańcu doliny rozciągała się parę kilometrów na wschód i na zachód urwista skała. Po jej zboczach spływał srebrzysty wodospad.

- Niesamowity widok - przyznał Jupe.

- Jak się nazywa ta dolina? - dopytywał się Bob.

- Sam chciałbym wiedzieć - odparł pan Andrews. - Jest taka piękna. Spójrzcie przed siebie, to już Diamond Lake. Około siedemdziesięciu kilometrów na północ od nas.

Niemal okrągła, błękitna powierzchnia jeziora, od którego kurort wziął nazwę, lśniła w słońcu jak prawdziwy diament. Na jednym z brzegów przycupnęły maleńkie domki. Biała betonowa szosa wiła się niczym wstążka między górami i dokoła jeziora,

Bob aż gwizdnął z podziwu.

- Fantastyczne!

- Zdążymy akurat na lunch! - ucieszył się Jupe.

- Nareszcie gadasz do rzeczy - pochwalił go Pete.

W tej samej chwili cessań lekko szarpnęło. Przynajmniej Jupiterowi tak się wydawało.

- Czujecie... - zaczął i nie zdążył dokończyć zdania.

Uspokajający szum motoru ustał nagle. W kabinie zapanowała przeraźliwa cisza.

- Panie Andrews...

Ojciec Boba przebiegał już palcami po pulpicie sterowniczym. Od dwóch lat posiadał licencję pilota, wiele razy prowadził należące do wydawnictwa samoloty i nigdy nie miał z tym najmniejszych kłopotów.

Naciskał kolejne guziczki, sprawdzał wskaźniki i zamarł na chwilę, gdyż żaden z przyrządów pokładowych nie działał. Wskazówki stały w miejscu, nie określając prędkości, wysokości, poziomu paliwa...

- Wysiadła elektryka! - stwierdził Bob.

- A silnik? - spytał Jupe, choć znał odpowiedź.

- Nie pracuje - odparł pan Andrews. - Musimy wylądować, nim utracimy sterowność.

ROZDZIAŁ 2

KU WŁASNEJ ZGUBIE

Cessna przecinała niebo; silnik milczał. W kabinie słychać było dobiegający z zewnątrz jęk i szum wiatru. Pan Andrews sięgnął do tablicy przyrządów po mikrofon i wcisnął nadawania.

- Mayday! Mayday! - wołał spokojnym, lecz stanowczym głosem. - Tu cessna november trzy-sześć-trzy-osiem Papa. Silnik nie pracuje. Spadamy. Kierunek zero-cztery-siedem od Bakersfield....

Pan Andrews podał dokładną pozycję i przekazał mikrofon synowi. Sam chwycił z powrotem drążek sterowniczy.

Bob wcisnął odpowiedni guzik i powtórzył:

- Tu cessna november...

Pan Andrews nagle zbladł.

- Daruj sobie nadawanie - przerwał chłopcu w pół zdania. - Za późno.

- Słucham? - spytał zdezorientowany Bob.

- System elektryczny nie działa, więc nie ma łączności radiowej - wyjaśnił Jupe.

- Mamy awaryjny sygnał - przypomniał sobie Bob. - Włącza się automatycznie, kiedy samolot się rozbija.

- Dziękuję bardzo za tę przyjemność - odparł Jupe Serce biło mu jak oszalałe. - Jeśli zdołamy bezpiecznie dotknąć ziemi...

- Taak... - westchnęli Bob i Pete. W milczeniu zacisnęli pasy bezpieczeństwa.

- Jaka jest prędkość przeciągnięcia? - spytał Jupiter.

- Dla tego samolotu około stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę - odparł rzeczowo pan Andrews.

- Co to znaczy? - zapytał z niepokojem Pete.

- Jeśli będziemy lecieli zbyt wolno, cessna utraci siłę nośną i sterowność. - Okrągła twarz Jupitera skurczyła się ze strachu. - Musimy kierować dziób maszyny ku dołowi. Grawitacja przyspieszy nas powyżej stu pięćdziesięciu na godzinę.

- Jeśli zaś przeciągniemy - dodał ponuro Bob - spadniemy jak kamień.

- Czemu nie usiądziesz na dziobie, Jupe? - zażartował Pete.

Chłopcy uśmiechnęli się blado, jednakże mała kabina aż trzeszczała od panującego w niej napięcia. Dziób cessny skierowany był w granitowe wierzchołki.

Samolot wydawał się teraz kruchy jak porcelanowa figurka. Jeśli uderzy w któryś z górskich szczytów, roztrzaska się na kawałki wraz z całą załogą.

Jupiter oblał się zimnym potem, w żołądku kłuło go ze strachu.

Pete zaciskał palce aż do bólu. Czuł, że za chwilę wyskoczy z własnej skóry.

Bob przełykał ślinę. Próbował równo oddychać. Przysiękł sobie, że jeśli wyjdą cało z opresji, już nigdy nie będzie naśmiewał się z nadwagi Jupe'a czy też dokuczał Pete'owi z powodu Kelly.

- Dokąd zmierzasz? - zapytał ojca. Słowa z trudem przeszły mu przez gardło.

- Na tę dużą łąkę - wyjaśnił pan Andrews. Leżała na wschód od doliny, którą wcześniej widzieli.

- Kiedy tam będziemy? - dopytywał się Jupe.

- Za mniej więcej trzy minuty.

Chłopcy nie mogli oderwać wzroku od okien. Zmartwiali patrzyli, jak spadają na łąkę, na szyję. Drzewa i granitowe skały rosły im w oczach. Długie urwisko na północ od łąki stawało się coraz wyższe, bielsze, bardziej wyniosłe.

Bob pomyślał o mamie. Wyobraził sobie, jak sięga po gazetę i czyta informację o katastrofie samolotowej. Tata i on - zabici...

Im bardziej maszyna zbliżała się do ziemi, tym jej szybkość zdawała się rosnąć. Mknęła jak rakieta ku własnej zgubie.

- Pochylić się! - warknął pan Andrews. - Ręce wokół głowy.

- Tato...

- Ty również. Bob. Nie trzeba nam bohaterów.

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie.

- Przynajmniej mamy na czym stanąć - mruknął, próbując przekonać siebie i pozostałych pasażerów, że mogłoby być gorzej. - Podwozie umocowane jest na stałe. Nie wciąga się go podczas lotu.

Nikt nawet nie wspomniał o hamulcach. Przy zepsutym systemie elektrycznym były bezużyteczne.

Świst powietrza wokół samolotu wzrastał.

"Teraz!" - pomyślał Bob.

Cessna uderzyła w ziemię.

Pasażerowie gwałtownie polecili do przodu. Pasy bezpieczeństwa napięły się do granic wytrzymałości. Po chwili ogromna siła z powrotem wtoczyła wszystkich w fotele. Bob poczuł ostry ból w skroni.

Samolot podskoczył i gwałtownie opadł na ziemię. Pasażerom zadzwoniły zęby. Zapięci w pasach czuli się jak szmaciane zabawki, rzucani do przodu i na oparcia foteli. Cessna ponownie wzbijała się do góry.

- Trzymać się! - krzyknął pan Andrews.

Samolot po raz trzeci uderzył o ziemię. Zadrżał i odbił się parę razy od podłoża, ale już nie uniósł się w powietrze. Jak kula armatnia pomknął naprzód.

Bob ścisnął swój pas bezpieczeństwa i nisko pochylał głowę, gdy przerażająca siła prędkości wbiła go znowu w fotel. Trząśnięcie w środku jak galareta. Wszyscy żyli, ale któż mógł przewidzieć, co zdarzy się za chwilę?

Nagle usłyszeli przeraźliwy dźwięk. To kawał metalu oderwał się od kadłuba. Pasażerowie i pilot uderzyli głowami o boczne ścianki kabiny. W powietrzu zawirowały książki i dokumenty. Wyrwane przewody elektryczne śmignęły obok foteli. Bob poczuł, że coś trafiło go w ramię. Ledwo mógł oddychać, gdy samolot obracał się i gwałtownie skręcał.

Potem zapadła przerażająca cisza. Cessna zatrzymała się.

Bob powoli uniósł głowę.

- Tato! - krzyknął.

Pan Andrews leżał wtłoczony w pulpit sterowniczy. Bob potrząsnął jego ramieniem.

- Tato, nic ci nie jest?

Ojciec ani drgnął.

- Musimy go stąd wydobyć - zarządził Pete, stając między dwoma przednimi siedzeniami.

Bob szybko zdjął ojcu słuchawki, a Pete uwolnił nieprzytomnego pilota z pasów bezpieczeństwa. Na czole pana Andrewsa widniała strużka krwi i olbrzymi siniak, który zaczynał już przybierać fioletową barwę.

Bob i Pete wygramolili się z rozbitego samolotu i przeszli na drugą stronę, do drzwi pilota. Żaden z chłopców nie odniósł większych obrażeń, za to pan Andrews był poważnie ranny. Kiedy Bob otworzył drzwi kabiny, stwierdził z ulgą, że ojciec nadal oddycha.

Pete pojawił się obok przyjaciela. Pochwycił pana Andrewsa w swoje silne ramiona, kołyszając go jak dziecko. Nie miał czasu roztkliwiać się nad własnymi dolegliwościami, gdy inny człowiek potrzebował jego pomocy.

- Gdzie jest Jupiter? - zawołał do Boba. Zmierzał w stronę wysokich głazów, za

którymi można było się schronić. Bob biegł obok, uważnie obserwując twarz ojca.

- Tutaj - odparł słabym głosem Jupe.

Nie opuścił dotąd samolotu. Czuł się marnie. Powoli sprawdzał, czy może poruszać rękami i nogami. Wydawało mu się, że tak...

- Wyłaż stamtąd, głupku! - ryknął Pete z za wysokich granitowych głazów. Ostrożnie położył pana Andrews'a na trawie.

Bob przyklęknął przy ojcu, badając jego puls.

- Tato, czy mnie słyszysz? - dopytywał się. - Odezwij się, tato!

Pete pobiegł z powrotem do Jupe'a.

- Już idę - wymamrotał zrzędlwym tonem Pierwszy Detektyw.

- Zbiorniki z paliwem! - warknął Pete, chwytając Jupe'a za ramię.

Jupiter otworzył szeroko oczy.

- Zbiorniki z paliwem - powtórzył ze zgrozą. Wyobraził sobie rozgrzany do czerwoności silnik. Jeśli zbiorniki pękły, benzyna może wyciec, a wtedy...

Jupe rzucił się na boczne drzwi, wypadł na ziemię i podniósł się nieporadnie. Nieważne, czy nogi miał całkiem sprawne, czy też nie. Brakowało już czasu, by to sprawdzać. Potykając się, pobiegł za Pete'em w stronę wysokich głazów, które osłaniały Boba i jego ojca przed mogącym w każdej chwili eksplodować samolotem.

Jupiter, sapiąc i dysząc, padł na ziemię obok pana Andrews'a. Okrągła twarz chłopca lśniła od potu. Pete przykucnął tuż przy nich.

Wszyscy czekali na eksplozję, na żar i smród palącej się benzyny.

Bob zdjął dzinsową kurtkę, zwinął ją w rulon i podłożył pod głowę ojca.

- Puls ma miarowy - oznajmił, patrząc na przyjaciół.

- Miejmy nadzieję, że to tylko chwilowa utrata przytomności - powiedział Jupe.

- Twój ojciec to twardy gość - uspokoił Boba Pete. On również zdjął kurtkę, nakrył nią pana Andrews'a i wstał. Przeciągnął się i poruszył ramionami, po czym szybko przykucnął. Czekał, aż silnik wybuchnie... lub też ostygnie. Plecy bolały go od wielokrotnego uderzania o tył fotela, a klatka piersiowa od ucisku pasa bezpieczeństwa, ale powtarzał sobie, że ból nie jest większy niż po intensywnym treningu.

Pan Andrews jęknął.

- Tato, obudź się - poprosił natychmiast Bob.

- Czy pan nas słyszy, panie Andrews? - spytał Jupiter.

Mężczyzna uniósł powieki. Spojrzał na swego syna.

Uszczęśliwiony Bob roześmiał się radośnie.

- Wspaniałe lądowanie, tato!

- Popisowe na trzy koła - zgodził się z przyjacielem Jupe.

- Kiedy zaczynamy naukę pilotażu? - dopytywał się Pete.

Pan Andrews uśmiechnął się z bólem.

- Wszyscy trzej w dobrym stanie?

- W każdym razie w lepszym niż samolot - odparł Jupe.

Ranny próbował usiąść, więc Bob popchnął go delikatnie z powrotem na trawę.

- Czy odpadło skrzydło? - spytał pan Andrews.

- Skrzydło?

Chłopcy wstali i zza głazu przypatrywali się dziełu zniszczenia. Długa bruzda w ziemi znaczyła drogę cesseną poprzez usianą kwiatami łąkę. W słońcu lśniły kikuty młodych drzew. Skrzydła samolotu ścięły ich wierzchołki. Łopatką śmigła odłamała się i leżała roztrzaskana na kawałki sto metrów dalej. Koła podwozia znajdowały się na swoim miejscu. Skrzydło z prawej strony kadłuba odpadło i utkwilo w skalnej szczelinie. Właśnie to ostatecznie zatrzymało cessenę. Pozbawiony skrzydła samolot nie mógł już donikąd odlecieć. Został unieruchomiony na górskiej łące.

Bob tylko jęknął.

- Ale lądowanie - powiedział z szacunkiem Pete.

- Zarobiłem tylko kilka siniaków - stwierdził ze zdziwieniem Jupe.

- Gdzie jest moja czapeczka? - spytał pan Andrews. Nie zwracając uwagi na chłopców, chwycił się głazu i próbował wstać.

- Co ty robisz, tato?

- Panie Andrews!

Pan Andrews oparł się o granit i dotknął ręką głowy. Uśmiechnął się smutno.

- Trochę boli.

- Lepiej usiądź - naciskał Bob.

- Nie da rady, chłopcze. Muszę obejrzeć samolot.

- Ale silnik... - zaczął Pete.

- Może eksplodować? Skoro do tej pory nie wybuchł, pewnie już tego nie zrobi.

- Pan Andrews spojrzał w stronę cesseną. - Nie jest tak źle - mruknął.

Bob chwycił ojca pod jedno ramie, a Pete za drugie. Próbowali go podtrzymać.

- Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, tato, że jesteś uparty jak osioł? - spytał Bob.

- Mój wydawca - odparł radośnie pan Andrews. - Ciągłe mi to powtarza. -

Pozwolił jednak chłopcom, by pomogli mu iść.

Jupe szedł obok nich. Kiedy dotarli do rozbitego samolotu, Bob sięgnął po ulubioną czapkę baseballową ojca i jego przeciwsłoneczne okulary, które leżały na fotelu pilota, Pan Andrews wetknął okulary do kieszeni wiatrówki. Obrócił w dłoniach czapkę i wsunął ją na tył głowy, starając się nie dotykać zranionego czoła. Udało się.

Teraz wszyscy przyjrzeni się uważnie dużej, położonej na pochyłym stoku łące i otaczającemu ją gęstemu lasowi. W oddali lśniły w słońcu po trzech stronach strzeliste granitowe wierzchołki. Z tyłu rozbitkowie zobaczyli długie, wysokie na ponad pięćset metrów skalne urwisko. Zaslaniało od północy widok na wierzchołki.

Nigdzie nie było śladu jakiegokolwiek cywilizacji. Diamond Lake znajdowało się w odległości pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu kilometrów stąd, niewidoczne za wysokim urwiskiem.

Bob obserwował teren. W innych okolicznościach zachwyciłby się wspaniałym widokiem. Ostre, wyniosłe szczyty sterczały ponad dolinami. Zbocza gór tak gęsto porastały drzewa, że nie było widać podłoża. Teraz jednak chłopiec umiał myśleć tylko o tym, że są sami na tym odległym pustkowiu, bez wody, pożywienia, radia, środka lokomocji i sprzętu biwakowego.

- A więc, chłopaki - odezwał się znużonym głosem pan Andrews, jakby czytał synowi w myślach - jak wyglądają wasze umiejętności życia w dziczy?

ROZDZIAŁ 3

INNA KALIFORNIA

- Czy będzie bardzo zimno? - spytał Bob ojca. Siedzieli na łące w ciepłych promieniach słońca, a Pete i Jupe szukali w samolocie apteczki i pojemnika na wodę.

- Nie ma się czego obawiać - odparł pan Andrews. - W sierpniu jeszcze za wcześnie na niskie temperatury. Prawdopodobnie dzisiejszej nocy temperatura nie spadnie poniżej osiemnastu stopni

- To prawie mróz! - wykrzyknął Bob.

- Oto mój syn. - Pan Andrews uśmiechnął się. - Kalifornijczyk w każdym calu.

- To przecież kraina wiecznego słońca. - Pete wyskoczył z kabiny samolotu i biegł w stronę Boba i jego ojca. W ręku trzymał płaskie metalowe pudełko.

- Potrzebę ciepła mamy zakodowaną w genach - zgodził się Bob.

Pete'owi głośnie zaburzało w żołądku.

- Jak również potrzebę jedzenia. Cieszyłem się na lunch w Diamond Lake - poskarżył się żałośnie. - Duży lunch.

Bob i jego ojciec pokiwali głowami. Oni również byli głodni.

- Przynajmniej jakiś pożytek dla diety Jupe'a - powiedział Bob.

- Bez względu na to, co nowego dziś próbuje - zaśmiał się Pete.

Pan Andrews był optymistą.

- Przy odrobinie szczęścia wkrótce się stąd wydostaniemy. Ktoś usłyszy nasz sygnał wzywania pomocy. Nadajemy go właśnie teraz na częstotliwości 121,5 megaherców.

- Jest pan tego pewien? - spytał nagle podenerwowany Pete.

- To automatyczne urządzenie, zasilane na baterie - zapewnił pan Andrews. - Włącza się przez uderzenie. Słyszałem, że nawet jeśli upuścisz je przypadkowo, potrafi czasem zadziałać.

Skinął głową w stronę ledwo widocznej białej kreski na błękitnym niebie.

- Ten odrzutowiec prawdopodobnie leci zbyt wysoko, by nas dostrzec, ale może słyszeć nasz sygnał SOS.

Bob popatrzył na odległy samolot, potem uśmiechnął się szeroko do ojca. Poczul ulgę. Co prawda znaleźli się w poważnych kłopotach, ale jego tata rozmawiał tak swobodnie, że z pewnością musiał się czuć lepiej. Poza tym wkrótce miał nadejść

ratunek.

- Co znalazłeś, Pete? - spytał przyjaciela.

- Zestaw pierwszej pomocy. Zakurzony, ale jest wszystko, co potrzeba.

- Fantastycznie! - zawołał Bob.

Otworzyli metalowe pudełko. W środku była aspiryna, mydło ulegające biodegradacji, bandaże, środek przeciwko komarom, antybiotyki, pastylki do uzdatniania wody pitnej, pudełko zapalek i sześć lekkich "kosmicznych koc", wykonanych z błyszczącego i tak cienkiego materiału, że każdy można było złożyć w maleńki kwadracik.

- Mamy zapalki! - krzyknął triumfalnie Bob.

- I jodowe pastylki - dodał pan Andrews. - Dzięki nim możemy bez obawy pić wodę.

- To przypomina kombinezon astronautów. - Pete rozwinął koc i otulił się nim jak peleryną. - Popatrzcie, chłopaki. Chyba mogę uchodzić za gwiazdę rocka?

Bob wyjął z apteczki potrzebne środki i oczyścił oraz zabandażował czoło ojca. Rana okazała się powierzchowna, ale za to stłuczenie przeobraziło się w potężny, fioletowy guz. Chłopiec dokładnie obejrzał opuchliznę.

- Lepiej uważaj, tato. Takie rany potrafią być zdradliwe. Jeśli dostaniesz zawrotów głowy, usiądź...

- Cieszę się, że posłałem cię na ten kurs samopomocy, zorganizowany przez Czerwony Krzyż - stwierdził z zadowoleniem pan Andrews.

- Ja również - powiedział Bob.

Pete zdążył już ponownie złożyć koc i wędrował teraz skrajem łąki, zbierając suche drewno. Gromadził je za głazami, za którymi przedtem znaleźli schronienie. Jeśli będzie im potrzebny ogień, ułożą stos z dala od samolotu i zbiorników z paliwem.

Jupe przetrząsał wnętrze cessny w poszukiwaniu pojemnika na wodę.

- Chłopaki! Chyba mamy kłopot - zawołał w pewnej chwili podenerwowanym głosem.

Bob i Pete podbiegli do samolotu, tuż za nimi pan Andrews.

- Nadajnik wzywania pomocy nie działa - oznajmił ponuro Jupe.

- Pokaż - polecił krótko pan Andrews.

Jupe otworzył pudełeczko z urządzeniem nadawczym.

- Umieszczone na zewnątrz małe czerwone światełko powinno migotać. To

znak, że sygnał jest nadawany. Połączenia są w porządku. Mogły wysiąść jedynie baterie. Moim zdaniem urządzenie milczy.

- Milczy? - powtórzył jak echo zrozpaczony Bob.

- To znaczy nie wysyła żadnych sygnałów? - Pete miał oczy okrągłe ze strachu.

- Nie bardzo wiem, jak mogłoby to robić - powiedział Jupe.

- Och, chłopaki, chłopaki - powtarzał Pete, rozwierając i zaciskając pięści. Czuł, że serce bije mu jak szalone. To, co ich spotkało, naprawdę było straszne.

- Najpierw elektryka, teraz to. - Bob potrząsnął głową. Poczul się nie najlepiej.

- Mamy pecha - powiedział Pete.

- Systemy elektryczne czasem się psują - stwierdził pan Andrews. - Rzadko, ale się zdarza. Na przykład z powodu wadliwych połączeń. Ktoś również mógł zapomnieć wymienić baterie.

Nie mogli nic zrobić. Wyszli z samolotu. Popołudniowy wiatr gwizdał w koronach sosen rosnących wokół trawiastej łąki. Skalne urwisko pięło się tarasami ku przejrzystemu błękitnemu niebu.

- Prawdziwy raj - powiedział Bob.

- Można się nabrać - przyznał jego ojciec.

- Nie ja - oświadczył Jupe. - Jadowite węże, lawiny, bezdenne przepaście, pożary lasów, pioruny, głodne drapieżniki, trujące jagody. To zaledwie kilka problemów. - Jupiter nigdy nie ufał żywiolom.

- Czekajcie. - W głosie Boba zabrzmiała nadzieja. - Co z twoim informatorem w Diamond Lake, tato? Jeśli nie zjawimy się na czas, pomyśli, że stało się coś złego.

- Nie miał pojęcia, że przybędziecie wraz ze mną - powiedział pan Andrews - ponieważ ja sam o tym nie wiedziałem, kiedy rozmawiałem z nim ostatnim razem. Jeżeli ja się nie pojawię, może zatelefonować do redakcji. W przeciwnym razie miną trzy dni, nim ktokolwiek zacznie się o nas niepokoić.

- Straszne - mruknął Pete.

- No dobrze, Pete - przerwał pan Andrews. - O ile mi wiadomo, jeździłeś wcześniej na obozy. Od czego powinniśmy zacząć?

- Najpierw musimy się zorientować, co mamy. - Pete zdołał opanować niedobre emocje. - Ja mam to, co na sobie. - Chłopiec ubrany był w dżinsy, czarny podkoszulek z wytłoczona na piersi nazwą rockowego zespołu Pink Floyd i tenisówki.

- Poza tym kurtkę, nóż kieszonkowy i trochę zapasowych ubrań w walizce. A wy?

- Ja podobnie - odparł Bob. Nosił markowe dżinsy Calvina Kleina i

podkoszulek z emblematem ministerstwa kultury którejś z bananowych republik. -
Brakuje mi tylko noża.

- Mnie również - oświadczył pan Andrews. Miał na sobie dżinsy, koszulę i wiatrówkę, a na głowie czapkę.

- Szkoda, że nie wiedziałem, iż może się przydać plecak z pełnym ekwipunkiem - westchnął Jupe. - Trzy dni to jeszcze nie tragedia, chociaż będziemy mieli do czynienia z żywiołami... i niewiele jedzenia...

- Chwileczkę! - zawołał Bob. - Co to znaczy: "niewiele jedzenia"? Robisz nam jakieś nadzieje, inaczej powiedziałbyś: "nic do jedzenia". Masz jakieś żarcie!

Okrągła twarz Jupe'a poczerwieniała.

- No, niezupełnie.

- Jedzenie! - krzyknął Pete. - Dawaj!

- Nie tak ostro - oburzył się Jupe. - Wystarczy poprosić...

- Prosimy! - krzyknął Pete.

- Coś bym przegryzł - przyznał pan Andrews.

Jupiter wzruszył ramionami.

- W porządku, przyniosę, co mam, ale nie sądzę, by was to zachwycało.

Zniknął w głębi kabiny samolotu.

- Co tam porabiasz tyle czasu? - dopytywał się Pete. - Podgrzewasz dania w kuchence mikrofalowej?

Jupiter pojawił się z okrągłą jasnoczerwoną torbą w białe paski z napisem "Przybywam z hamburgerowego raj". Wyjął z niej plastikową torebkę z prażoną kukurydzą, drugą z surowym ziarnem i kilka rodzajów baloników.

- Dawaj - powtórzył Pete. Żołądek zaburczał mu głośno.

- To ma być dieta? - zdziwił się Bob. - Dlaczego nie umierasz z głodu tak jak my? Na pewno masz w kieszeni zapasową porcję.

- Teraz jestem na diecie kukurydzianej - oznajmił chłodnym tonem Jupe, prostując się na całą wysokość swych nieco ponad metr siedemdziesiąt centymetrów.

- Co dwie godziny muszę zjeść filiżankę prażonej kukurydzy. Zabrałem ze sobą przepisowy przydział. - Uroczyście sięgnął do dwóch ogromnych kieszeni w koszuli i wyjął z nich jeszcze trzy niewielkie torebki prażonej kukurydzy. Wręczył je Pete'owi, Bobowi i panu Andrewsowi. - Proszę, to wszystko dla was.

- A batoniki? - zagadnął Pete, zanurzając dłoń w podanej mu torebce.

- Poczęstuj się - odparł pogodnie Jupe.

- Ale dieta - mruknął Bob. - Batoniki. - Pojadł ze smakiem i poczuł się zdecydowanie lepiej.

- Smaczniejsza niż te, które wcześniej stosowałeś - powiedział Pete. - Pamiętasz grejpfrutowo-śliwkową?

- A naleśnikowo-kartoflaną? - przypomniał Bob.

- Lub te płyny, które śmierdziały jak benzyna? - dodał Pete. jęknął na samo wspomnienie.

- Muszę przyznać, że płyn karbolowy był wyjątkowo mało skuteczny. - Jupe zamyślił się. - Jednakże ta dieta pomoże mi osiągnąć zbawienne rezultaty.

- Co on powiedział? - spytał Boba Pete.

- Wykazał ostrożny optymizm - odparł Bob.

Pete popatrzył pytająco na pana Andrews.

Ojciec Boba uśmiechnął się szeroko.

- Jupe ma nadzieję stracić trochę na wadze. - Włożył do ust pełną garść kukurydzy.

Pete ze zdziwieniem potrząsnął głową.

- Dlaczego wobec tego nie ćwiczysz, Jupe? Zaczynaj znowu trenować dzudo. - Zgiął ramiona i naprężył muskularny tors. - Zgubisz zbędne kilogramy i zyskasz świetną kondycję.

Jupe oparł się o kadłub samolotu.

- Kiedy czuję, że nachodzi mnie zapal do ćwiczeń, siadam w kącie i czekam, aż mi przejdzie. - Przymknął oczy, wyobrażając sobie tę scenę.

Wszyscy roześmiali się głośno. Jupe otworzył oczy i również uśmiechnął się szeroko. Trenował swój umysł i stroił go jak najczulszy instrument. Taka porcja gimnastyki całkowicie mu wystarczała.

- Dzięki za jedzenie - odezwał się pan Andrews. - Rozdziel porcje na trzy dni, ale pamiętaj, że możemy tu zostać dłużej.

- Chodźmy szukać pomocy - zaproponował Pete. - Może gdzieś w pobliżu jest stacja straży leśnej albo obozowisko lub choćby jakaś droga. Potrzebna jest nam woda. Kiedy zbierałem drewno, usłyszałem dobiegający skądś szmer strumienia. - Wskazał dłonią na południowy zachód. - Obozowiska leżą zwykle w pobliżu rzek czy strumieni.

- Możesz w tym przynieść wody. - Jupe sięgnął do wnętrza cессny i wydobył dwulitrową plastikową butelkę po soku pomarańczowym.

- Doskonale. - Pete wręczył butelkę Bobowi. - Wymyj ją mydłem, napełnij czystą wodą i wrzuć pastylki, by ją uzdatnić do picia.

- Nie ma sprawy. - Bob odebrał pojemnik z rąk przyjaciela. - Co ty zamierzasz zrobić?

- W lesie, na południe stąd, widziałem jakąś ścieżkę. Prawdopodobnie wydeptały ją zwierzęta, ale któż to może wiedzieć?

- Dobrze rozumujesz, Pete - pochwalił pan Andrews. - Ja wdrapię się na to urwisko. - Skinął głową w stronę granitowej ściany, która ciągnęła się wzdłuż północnego skraju łąki. Wydawała się łatwa do wspinaczki. - Z góry więcej zobaczę. Może wypatrzę gdzieś ognisko.

- Czy czujesz się wystarczająco dobrze, by tam wchodzić? - spytał Bob.

- Z pewnością.

Pan Andrews, Pete i Bob popatrzyli teraz z oczekiwaniem na Jupitera.

- No taak... - Pierwszy Detektyw wyraźnie się ociągał. - Chyba pokręcę się tu w pobliżu. Przecież w każdej chwili może nadejść pomoc.

- Potrzebujemy więcej drewna - oświadczył Pete. - Mokrego drewna, byśmy mogli rozpałcić wielkie, dymiące ognisko, sygnalizujące, że tu jesteśmy. Kiedy już dość nazbierasz, wyjmij kilka koszul z naszych walizek. Wdrap się na trzy lub cztery drzewa i porozwieszaj koszulki na wierzchołkach jak flagi.

W miarę jak Pete wydawał kolejne polecenia, Jupe wyraźnie opadał na duchu. Bob wyobraził sobie nagle otyłego przyjaciela, jak wisi wysoko na sosnowej gałęzi, podobny do wielkiej choinkowej ozdoby. Gałąź pęka...

- A potem - ciągnął radośnie Pete - ułóż z kamieni wielki napis SOS, na wypadek gdyby Jakiś samolot przelatywał na tyle nisko, by go odczytać.

Jupiter jęknął.

- Czy przy okazji mam jeszcze zbudować chatkę?

Wszyscy roześmiali się serdecznie.

- No już dobrze, dobrze. Znajdę trochę mokrego drewna.

- Ma być sporo! - Pete i Bob odeszli.

- Pamiętajcie o znakach! - zawołał za nimi pan Andrews. - W lesie łatwo stracić orientację i chodzić w kółko.

Bob i Pete rozdzielili się na skraju łąki. Bob ruszył przez sosnowy las na południowy zachód, zmierzając w stronę słabego odgłosu płynącej wody. Pete obrał kierunek na południowy wschód, idąc ścieżką, którą odkrył wcześniej.

Bob, pomny na słowa ojca, patrzył uważnie, dokąd idzie. Minął niezwykle potrójną sosnę, powstałą z trzech drzewek, które rosły razem jako młode sadzonki i utworzyły teraz jeden gruby pień o trzech nieregularnych walcach. Potem przeszedł obok płaskiego głazu z głębokim wyłobieniem w kształcie misy. Pomyślał, że dawni Indianie mogli rozcierać w niej kamiennym tłuczkiem orzechy na mąkę. Bob zauważył też inne znaki i notował je w pamięci, dopóki nie znalazł wydeptanej przez zwierzęta ścieżki. Ruszył nią w stronę szumiącego w oddali strumienia. Im bardziej się do niego zbliżał, tym szum stawał się głośniejszy.

Wkrótce zobaczył płytki strumień o korycie szerokości około sześciu metrów. Woda płynęła po głazach, gałęziach i porozrzucanych na dnie kamyczkach. Była krystalicznie czysta i doskonale nadawała się do picia.

Bob wymył butelkę znalezionym w samolocie mydłem ulegającym biodegradacji, wypłukał ją, napełnił wodą i wrzucił do środka jodowe pastylki.

Wstał i popatrzył w dół i w górę strumienia. Teraz musiał szukać pomocy. Najbardziej prawdopodobne wydawało się znalezienie jakiegoś obozowiska. Tylko w którą stronę powinien pójść?

Przypomniał sobie dolinę, którą oglądał przez okienko w samolocie. Wiedział, że leży na zachód od ich łąki i że przepływa przez nią strumień. To mógł być ten sam strumień, wzdłuż którego siedł.

Jeśli jego kalkulacje były właściwe, dolina powinna się znajdować dokładnie na północ od miejsca, gdzie teraz stał. W tak pięknej okolicy można się spodziewać znalezienia publicznego obozowiska.

Bob ruszył w górę strumienia. Czasem maszerował środkiem, innym razem zbaczał na brzeg, by obejść głazy, kłujące krzaki lub bagna. Szum spadającej wody narastał, w miarę jak chłopiec posuwał się naprzód.

Wreszcie, po okrążeniu czerwonych krzewów manzanita, wyszedł na otwartą przestrzeń, gdzie strumień spływał kaskadami po skałach, tworząc długi, pionowy wodospad. Widok był niezwykle. Wzburzona woda ryczała jak rój tysięcy trzmieli.

Bob odetchnął wilgotnym powietrzem. Popatrzył na wodospad i na wyniosłe urwisko wznoszące się wysoko po jego obu stronach. Masy spływającej wody wyłobiły głębokie nacięcie w skalnej ścianie.

Jeśli był to ten sam wodospad, który chłopiec zaobserwował z okna samolotu, dolina powinna znajdować się tuż za tą ścianą. Bob musiał się na nią wspiąć. Pytanie tylko, gdzie powinien zacząć.

Przyjrzał się uważnie granitowi i zauważył miejsce, w którym pęknięcie w skale tworzyło oparcie dla stopy. Odstawił na bok butelkę, przeszedł ostrożnie po rumowisku i rozpoczął wspinaczkę. Kamienie umykały mu spod nóg. Wspinał się powoli, chwytając się drobnych występów i korzeni drzew.

I wtedy stało się.

Usłyszał rumor, kilka niewielkich odłamków spadło mu na głowę. Spojrzał w górę.

Zobaczył z prawej strony olbrzymi kamień, który toczył się, zbierając po drodze skalny gruz. Lawina sunęła na chłopca, aby go zmiażdżyć.

ROZDZIAŁ 4

PODWÓJNE TARAPATY

Lawina nabierała rozpędu. Bob nie mógł zawrócić, gdyż obsuwające się kamienie zmiażdżyłyby go po drodze. Strach chwycił chłopca za gardło. Nie miał czasu, żeby się zastanawiać. Musiał działać.

Przemieścił się w lewo, przywierając do skalnej ściany. Pot spływał mu po czole i zasłaniał oczy. Pył zatykał nos. Bob desperacko rzucił się w bok.

Dudnienie narastało.

Lawina eksplodowała tuż za chłopcem. Maleńkie kamyczki pokłuły jego skórę jak igły.

Wielka masa ziemi wymieszanej z kamieniami gruchnęła na luźne głazy u podnóża ściany. Bob domyślił się, że to monstrualne usypisko narastało przez wieki, tworzone właśnie przez takie lawiny. Wystarczył najmniejszy ruch jakiegoś zwierzęcia, lekkie trzęsienie ziemi, by naruszyć stabilność skalnej ściany. Nie można się było po niej bezpiecznie wspinać.

Bob czuł, że serce mu wali jak młotem. Zacisnął powieki. Zagłada była tak blisko.

Nie mógł jednak tkwić w miejscu w nieskończoność. Otworzył oczy i rozejrzał się dokoła. Co powinien dalej zrobić? Iść naprzód czy wracać?

W tym momencie zauważył coś dziwnego. Wyglądało jak stopnie albo uchwyty. Okazało się, że jest to i jedno, i drugie. W dodatku zostało prawdopodobnie wykute w skale przez człowieka. Natura nie zdołałaby stworzyć tak idealnych form.

Bob trząsł się jeszcze, kiedy zrobił krok w stronę zbawiennych stopni. Zobaczył teraz, że jest ich wiele. Pięły się zakosami w górę, tworząc całkiem porządną, choć niebezpieczną ścieżkę, zbaczącą na lewo od pionowej ściany. Budowniczymi ścieżki musieli być ci sami Indianie, którzy przed wiekami wyżłobili misy w skalnych głazach.

Bob spojrział na zegarek. Zrobiło się późno. Współtowarzysze mogą się już niepokoić, co się z nim dzieje.

Chwyając się wykutych występów, chłopiec posuwał się w górę. Dotarł do szczyrby powyżej wodospadów i przesuwiał się dalej, skręcając w głęboką, powstałą na skutek erozji rynnę. Poczul na twarzy zimny, wilgotny osad.

Po chwili wydostał się na otwartą przestrzeń. Roztaczała się przed nim ta sama piękna, zalesiona, ciągnąca się w nieskończoność szeroka dolina, którą podziwiał

wcześniej z kabiny lecącego samolotu. Otaczały ją granitowe, błyszczące w słońcu urwiska. Płynący środkiem spokojny strumień w niczym nie przypominał wzburzonego wodospadu, który spływał przez progi z drugiej strony skały. Jednakże nie było ani śladu jakiegokolwiek obozowiska.

Wiejący z północy wiatr niósł ze sobą smród siarki. Bob domyślił się, że w dolinie biją prawdopodobnie gorące źródła. Poczul, że szczypią go oczy, więc na chwilę odwrócił głowę, po czym znowu spojrzął po raz ostatni na roztaczający się przed nim widok.

Wydawało mu się, że wieki minęły od czasu, gdy on, jego ojciec, Jupe i Pete wypatrzyli dolinę z okien samolotu. Tyle się od tamtej pory wydarzyło. Mieli szczęście, że uszli z życiem z katastrofy. Gdyby nie fantastyczny popis pilotażu, jaki dał jego ojciec...

Bob wstrząsnął się, przerwał rozmyślenia i tą samą drogą, którą przyszedł, ruszył z powrotem ku swoim kompanom. Korzystając z wykutych stopni i uchwytów, przewinał się przez wycięcie w skale, dotarł do miejsca, gdzie poprzednio omal nie zmiotła go lawina, minął wąską półkę, przy której rosły gęste krzaki, i po przetraversowaniu kilkudziesięciu metrów zaczął schodzić do podnóża urwiska.

Indianie najwyraźniej z jakiegoś powodu nie chcieli, by ktokolwiek znał ich sekretną drogę do doliny, bowiem kiedy ścieżka była już dostatecznie nisko, by dało się ją dojrzeć z dołu, zasłaniał ją w tym momencie sosnowy las i rwący strumień.

Bob postawił w końcu stopy na ziemi. Ponownie spojrzął na zegarek i nieco się przeraził. Naprawdę było późno.

Podbiegł do zostawionej przed wspinaczką butelki z wodą, podniósł ją i ruszył przed siebie leśną dróżką wydeptaną przez zwierzęta. W pewnym miejscu musiał zboczyć z niej i iść dalej, kierując się wcześniej zapamiętanymi znakami.

Do zachodu słońca pozostało około godziny, kiedy zobaczył wreszcie łąkę, na której awaryjnie lądowała cessna. Był wyczerpany, lecz podniecony. Nie mógł się doczekać, by opowiedzieć współtowarzyszom o swoich przeżyciach.

Kiedy chłopcy rozdzielili się, Pete ruszył ścieżką, którą odkrył, zbierając drewno. Podejrzewał, że prowadzi ona na południowy wschód do gęstego sosnowego lasu. Promienie słoneczne przedostawały się przez gałęzie wysokich drzew, rozświetlając ciepłym światłem mroki lasu. Gdzeniedzie korony drzew stykały się tak blisko, że zasłaniały niebo. Powietrze wypełniał aromat ziemi i sosnowej żywicy.

Pete przez pół godziny szedł leśną dróżką, wypatrując śladów człowieka. Widział tropy jeleni, szopów i pum, niedźwiedzie odchody, lecz był rozczarowany, gdyż nie dostrzegł nigdzie odcisków traperskich butów czy tenisówek. Miał nadzieję, że poczuje zapach obozowego ogniska, usłyszy odgłos zapalanego silnika samochodu, zauważy przewody telefoniczne. Jednakże niczego takiego nie było.

W pewnej chwili odniósł jednak wrażenie, że nie jest sam. Ktoś nadchodził z głębi lasu, idąc szybkim krokiem wzdłuż ścieżki, którą on się posuwał. Mógł to być człowiek albo zwierzę.

Pete usłyszał szelest. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Zmysły miał wyostrzone jak żyłotka. Szybko zszedł ze ścieżki i skrył się za drzewem, skąd mógł obserwować, co się dzieje.

Coś zaszleściło bardzo blisko, niemal tuż naprzeciw Pete'a, po czym przemknęło z tyłu i znikło w lesie.

Pete nawet nie zauważył, co to było. Włosy stanęły mu dęba.

- Hej! - krzyknął. Pomyślał, że jeśli było to zwierzę, przestraszy się, hałasu i ucieknie. Człowiek powinien zareagować na wołanie, przystanąć i sprawdzić, kto i dlaczego go woła, dlatego dodał jeszcze: - Zatrzymaj się!

Zaczął nasłuchiwać. Żadne zwierzę nie skoczyło przed siebie, nie rzuciło się w panice między drzewa. Jednakże szelest nie ustawał, jakby coś uparcie sunęło naprzód, nie zważając na żadne nawoływania.

Pete pobiegł, kierując się w stronę odgłosów. Lekko pokonywał kolejne metry. Jego dobrze wygimnastykowane ciało potrzebowało ruchu.

Po chwili zwolnił i ponownie zaczął nasłuchiwać. Dobiegły jego uszu te same słabe szelesty.

Zboczył ze ścieżki i zanurzył się w las. Sosnowe igły cięły go po twarzy.

Nagle zobaczył jakąś ludzką postać. Mimo iż ledwo ją było widać w cieniu drzew, zorientował się, że jest to mężczyzna.

- Zatrzymaj się! - ryknął Pete, biegnąc za nieuchwytnym osobnikiem. - Chcę porozmawiać! Potrzebujemy pomocy!

Nieznajomy zawahał się, na chwilę zwolnił kroku, po czym przyspieszył i wkrótce zniknął za kępą drzew.

Pete pognał za nim. Kto mógł nie zareagować na wołanie o pomoc?

Tajemnicza postać rozplynęła się w powietrzu. Ktokolwiek to był: człowiek czy duch, naprawdę okazał się podły.

Chłopiec stał nieruchomo, patrząc i nasłuchując. Nic się nie działo. Osobnik albo nagle uniósł się w powietrze, albo gdzieś się skrył.

- Chcę tylko porozmawiać! - ponownie zawołał Pete. - Ja i moi przyjaciele zgubiliśmy się!

Oczekiwał odzewu. Cisza.

- Nie zrobimy ci krzywdy!

Żadnej reakcji. "Znajdę go" - pomyślał Pete. Zaczął penetrować pobliskie leśne chaszczki.

Nagle przypomniał sobie, że czas ucieka. Spojrzał na zegarek. Zrobiło się późno. Musiał wracać.

No dobrze, ale którądy?

"Jesteś skończonym idiotą" - powiedział sam do siebie ze złością. Nie wiedział nawet, gdzie znajduje się ścieżka, jak ostatni głupek nie zapamiętał żadnych charakterystycznych znaków.

Poczuł nagły skurcz w żołądku, kiedy uświadomił sobie, że zgubił drogę i nie potrafi się wydostać z gęstego lasu.

ROZDZIAŁ 5

ZAGUBIENI

Pete oddychał powoli. “Uspokój się” - powtarzał sobie. - “Jakoś tu dotarłeś. Teraz zastanów się, jak wrócić.”

Ponownie spojrzął na zegarek. Przesunął się w miejsce, gdzie korony drzew nie były tak gęste i skąd mógł zaobserwować, w jakim położeniu znajduje się słońce.

Zaczął rozważać. Kiedy wyruszył ścieżką z łąki, zmierzał na południowy wschód. Promienie słońca padały mu wtedy na prawe ramię. Teraz słońce stało niżej, jeśli pójdzie na północny zachód, promienie powinny ślizgać się dość nisko po jego lewym ramieniu, prawie po klatce piersiowej.

Być może nie odnajdzie łąki na tym rozległym, zalesionym terenie, ale powinien próbować.

Ruszył powoli, przez cały czas sprawdzając pozycję słońca. Wokół panował spokój. Ptaki śpiewały, wiatr lekko poruszał liśćmi. Małe stworzonka umykały chłopcu spod stóp.

Maszerował tak z godzinę. “Nie rozpoznaję nawet najmniejszego szczegółu” - pomyślał z trwogą.

Słońce stało już całkiem nisko, kiedy Pete znowu usłyszał, że lesie coś się porusza. Zaczął nawoływać, lecz po chwili uznał, że lepiej będzie, jeśli zamilknie. “Ostatnio niepotrzebnie zdzierałem gardło” - pomyślał - “człowiek, którego wołałem, uciekł.” Spokojnie szedł więc w kierunku, skąd dobiegały odgłosy.

Prowadziły go na północ. Były dużo głośniejsze niż te, które słyszał poprzednio.

“Chyba oszalałem” - stwierdził w pewnym momencie. - “Powiniennem wracać na łąkę, a nie jeszcze bardziej się od niej oddalać.”

Odgłosy umilkły.

Pete zawahał się, po czym pobiegł przez las w stronę, skąd wcześniej dobiegały.

Nagle stanął jak wryty.

- Bob! - krzyknął ze zdumieniem.

Przyjaciel odwrócił się.

- Jak ci leci? - spytał z uśmiechem.

Pete roześmiał się z ulgą. Jak to wspaniale spotkać kogoś, kto reaguje na twoje słowa. Podbiegł do Boba i szturchnął go pięścią w splot słoneczny.

- Co ty wyprawiasz! - zawołał Bob, odpychając Pete'a. - Chyba zwariowałeś! Czy

ktoś ci już o tym wspomniał?

- Właśnie przed chwilą ty - odparł Pete.

Objął Boba spoconym ramieniem. Razem ruszyli w stronę cesseny, zdając sobie nawzajem relacje z wydarzeń dnia.

- Lawina omal cię nie zmiażdżyła! - Pete nie mógł ochłonąć z wrażenia.

- Tobie też się nieźle trafiło - zrewanżował się Bob. - Leśny duch wyprowadził cię na manowce. Zadumali się nad swoim pechem.

- Popatrz, Jupe spisał się lepiej niż my. - Bob wskazał przed siebie. - Ten dym jest wystarczająco ciemny, by przyciągnąć czyjąś uwagę.

Jupiter siedział obok dymiącego ogniska. Zrobiło się chłodno, więc nałożył kurtkę, a suwak zaciągnął aż pod brodę. Powyjmował z samolotu bagaże i przygotował prowizoryczne obozowisko. W promieniu dwóch metrów od ogniska oczyścił ziemię z butwiejących odpadków. Poukładał w stos świeże sosnowe konary, które leżały teraz i czekały, aby ktoś zrobił z nich posłanie.

- Ale długo was nie było - zauważył Jupe, kiedy przyjaciele pojawili się obok niego.

Bob i Pete włożyli kurtki i stanęli blisko ognia. Naprawdę zrobiło się zimno. Grzejąc dłonie, dwaj chłopcy opowiadali Jupiterowi o swoich przygodach.

W pewnej chwili Bob rozejrzał się dookoła.

- Gdzie jest mój tata? - spytał.

- Jeszcze nie wrócił - odparł Jupe.

- Powinien już tu być dawno temu - zmartwił się Bob. Popatrzył na skalne urwisko i przypomniał sobie paskudną ranę oraz siniak na czole ojca. Ruszył biegiem naprzód.

- Poczekaj na mnie! - zawołał Pete, doganiając go.

Jupe westchnął. Ktoś musiał zostać i pilnować ogniska, by nie dopuścić do pożaru lasu. Tym razem jednak wołałby towarzyszyć przyjaciółom. Także martwił się o pana Andrewsa.

Pete popatrzył w niebo. Do zachodu słońca pozostało mniej niż pół godziny. Potem jeszcze chwila szarówki i zapadną ciemności.

Bob gramolił się w górę urwiska. Nie było tak zniszczone przez erozję jak skały wokół wodospadu. Warstwy granitu tworzyły łatwe do wspinaczki występy. Miały gładką, wypolerowaną powierzchnię, co stanowiło efekt działania lodowca tysiące lat temu.

Pete i Bob niemal jednocześnie dotarli na platformę urwiska i zatrzymali się tuż na krawędzi. Oddychali ciężko. Bob z niepokojem rozejrzył się dokoła.

- Nigdzie nie widzę taty - powiedział.

- Może siedzi gdzieś na kamieniu i odpoczywa - odparł Pete.

Chłopcy popatrzyli w dal. Roztaczał się przed nimi widok, który pan Andrews chciał zobaczyć i dlatego zdecydował się na wspinaczkę. Porośnięte lasami góry wyglądały jak olbrzymie zielone harmonie. Nisko stojące słońce rzucało długie cienie, zmieniając doliny w ciemne jamy, a wierzchołki w rozżarzone pochodnie. Nigdzie nie unosił się dym z ogniska.

Zawrócili i zaczęli badać teren, na którym się znaleźli. Był to długi, na ogół równy granitowy płaskowyż z rozrzuconymi gdzieś tam gigantycznymi głazami i skałami. Miejscami krzaczaste drzewa utorowały sobie drogę pomiędzy kamieniami, walcząc o przetrwanie. Krajobraz był raczej monotony. W odległości około kilometra na północ rosły gęsto sosny. To był kolejny las. Wspinał się po zboczu aż do długiego grzbietu, który rozciągał się na horyzoncie. Gdzieś tam, za górami, znajdowało się Diamond Lake.

Bob i Pete rozdzielili się.

- Tato!

- Panie Andrews! - rozlegały się wołania.

Powiał zimny wiatr. Bob zadrżał. Co się stało z ojcem? Przecież uprzedziłby ich, gdyby zamierzał udać się gdzieś dalej.

W pewnym momencie chłopiec dostrzegł jakiś przedmiot. Była to, dobrze mu znana, niebieska baseballowa czapeczka.

- Tato! - krzyknął. Podbiegł, by podnieść czapeczkę, która leżała obok uschniętych krzaków manzanita. - Tato! - Ojciec musiał znajdować się w pobliżu. - Gdzie jesteś?

- Co znalazłeś? - spytał Pete, podbiegając do przyjaciela.

Bob wyciągnął rękę.

- Tata jest bardzo przywiązany do tej głupiej czapeczki. Zawsze pilnował, by jej nie zgubić. Musiało się wydarzyć coś złego, jestem tego pewien. Poczul się źle. Dostał zawrotów głowy i stracił orientację.

- Daj mi ją obejrzeć. - Pete obracał w dłoniach baseballową czapeczkę. - Nie jest podarta, brudna ani zakrwawiona.

- Tato! - zawołał znowu Pete.

- Słuchaj, może po prostu upuścił ją przypadkiem.

Bob z uporem pokręcił głową.

- To jest jego talizman.

Pete podniósł kilka sporych kamieni.

- Zbuduję piramidkę, byśmy zapamiętali, gdzie znalazłeś tę czapkę. Ty się rozglądaj.

Bob odszedł.

Pete popatrzył na rozżarzoną pomarańczowym blaskiem kulę zachodzącego słońca. Szybko dokończył budowy kopczyka w kształcie piramidy, który był powszechnym znakiem rozpoznawczym leśników i odkrywców, a potem kontynuował poszukiwania. Nie chciał, by Bob zauważył, jak bardzo się niepokoi.

Obaj chłopcy złożyli dłonie w trąbki i zaczęli krzyczeć. Wiatr przynosił w dal ich wołania. Zaglądali za ogromne głązy oraz w ciemne szczeliny powstałe podczas ruchów tektonicznych ziemi.

- Musimy wracać - zdecydował w końcu Pete.

- Jeszcze nie - zaprotestował Bob. Zbliżał się do lasu, który otaczał płaskowyż od północnej strony, by również i tam poszukać ojca.

- Chodź! - wrzasnął Pete. - Twój tata chciałby, żebyśmy wrócili do obozowiska.

- Nie - upierał się Bob. Miał przeczucie, że ojciec jest gdzieś w pobliżu.

- Wpadłby w złość, gdybyśmy także się pogubili.

Bob zatrzymał się i zwiesił ramiona.

- Słońce już zachodzi - naciskał Pete. - Nic nie zobaczymy.

Bob zawrócił, pokonany przez logiczny argument. Jednakże wiedział, że nie zaniecha poszukiwań. "Jutro tu wrócę" - obiecał sobie.

Maszerowali skrajem urwiska, nim znaleźli miejsce, w którym przedtem się wspinali. Zaczęli schodzić w ostatnich promieniach słońca. Niebo ciemniało, pojawił się księżyc. Mimo iż zbliżała się pełnia, nie było dość jasno, by kontynuować poszukiwania.

Biegiem dotarli do trawiastej łąki, na której Jupe urządził prowizoryczny obóz. Było już ciemno. Pałące się ognisko tworzyło miły, przytulny krąg.

- Bez powodzenia? - spytał Jupe.

- Znaleźliśmy tylko tę czapeczkę - odparł Pete.

Opowiedział przyjacielowi, co widzieli. Bob usiadł na kamieniu i przygnębiony wpatrywał się w ogień.

Jupe popatrzył znacząco na Pete'a, który pokiwał głową. Należało rozweselić Boba.

- Wiesz - powiedział nagle Pete - słyszałem, że Pistonsi są naprawdę odlotowi. - Miał na myśli zespół rockowy odkryty przez agencję poszukującą talentów muzycznych, dla której pracował Bob.

- Rzeczywiście są w porządku - przyznał wyrwany z zamyślenia chłopiec.

- Jak się nazywa ich nowa płyta? - ciągnął temat Jupe.

- "Blisko Ziemi" - odparł Pete. - jak to idzie, Bob?

- Słuchajcie...

- Daj spokój. Bob, jest ciemno i te szelesty działają mi na nerwy - skłamał Pete.

- No dobrze... "Pruję moim chevy Autostradą Słońca" - zaczął Bob.

Pozostali dwaj detektywi zawtórowali mu i wkrótce nocną ciszę wypełniły ochryple głosy, śpiewające o starych wyścigówkach i rozgrzanych do białości oponach. Pete podniósł jakąś gałąź i udawał, że gra na niej jak na elektrycznej gitarze. Jupe chciał jeszcze bardziej rozbawić przyjaciół i zaczął tańczyć w takt muzyki, kręcąc szerokimi biodrami. Szybko jednak policzki nabiegły mu krwią, więc zamiast tańczyć, zaczął grać na kawałku drewna. Błazeńskie wyglupy podniosły Boba na duchu i na jakiś czas ponure myśli o zaginionym ojcu wyleciały mu z głowy.

Po odśpiewaniu jeszcze kilku szlagierów chłopcy zaczęli się szykować do snu.

- Zdejmijcie przeпоcone koszule i nałóżcie na siebie wszystkie pozostałe, jakie macie - polecił Pete. - Wilgoć pozbawia skórę ciepła.

Jupe marudził coś, że mu zimno, ale wiedział, że Pete ma rację - nocą temperatura może jeszcze opaść, a ognisko wygasnąć. Powinni się więc odpowiednio przygotować.

Kiedy chłopcy przebrali się już w suche koszule i pozapinali suwaki kurtek, Pete powiedział im, żeby pościągali również skarpetki, które nosili przez cały dzień.

Żartując na temat niebiańskich zapachów, jakie wydzielają ich stopy, Jupe i Bob zrobili wszystko, co poradził Pete. Powpychali także poły koszul do džinsów, a nogawki w skarpety, by ich nocą nie przewiało.

Jupe przyniósł z samolotu wieczorne porcje prażonej kukurydzy oraz batoników i wręczył je kolegom. Kiedy zjedli, ułożyli z sosnowych gałęzi grube, sprężyste materace.

Pete zaniósł do kabiny puste torebki po kukurydzy.

- Leżące dokoła śmiecie mogłyby zwabić nieproszonych gości - wyjaśnił. -

Dzikie zwierzęta poczułyby zapach jedzenia i zjawiłyby się na uczcie. Dodam, że właśnie nas uznałyby za smaczne kąski.

Chłopcy poowijani "kosmicznymi" kocami z mylaru, cienkiego, cienkiego a jednocześnie nie przepuszczającego zimna materiału, wyciągnęli się wokół ogniska. Pomarańczowe i błękitne płomienie strzelały wysoko w czarne, gwiaździste niebo.

Trzej Detektywi zamknęli oczy. Rano powinni być wypoczęci i gotowi do działania. Zamierzali przecież odnaleźć pana Andrews. Nie wiadomo skąd przyszła Jupe'owi do głowy pewna myśl.

- Co z twoimi szklami kontaktowymi, Bob? - spytał sennym głosem.

- Nie przejmuj się, Jupe - odparł chłopiec. - To są specjalne szkła, których nie muszę wyjmować aż do następnego tygodnia.

- A zanim wypadną ci z oczu, my spadniemy z tej łąki - zażartował Pete.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Pete i Jupe pogrążyli się w niespokojnym śnie, ale Bob nie mógł zmrużyć oka. Wpatrywał się w Wielką Niedźwiedzicę i mruczał:

- Nie martw się, tato. Gdziekolwiek jesteś, odnajdziemy cię.

Zacisnął powieki. Gdzieś w lesie zahuczała sowa. W oddali wyły kojoty. Dzikie zwierzęta przemykały między drzewami. Chłopiec miał wrażenie, że słyszy jadące górską drogą ciężarówkę. Nocą dźwięki stają się bardziej intensywne, a ludzie mają rozmaite przywidzenia...

Westchnął głęboko. Jeśli będzie tak leżał przez całą noc, nie pomoże tym ani tacie, ani sobie. Pomału się rozluźnił. Opanowało go znużenie i zapadł w ciężki, męczący sen.

ROZDZIAŁ 6

NIEUCHWYTNY BIEGACZ

Nad położonymi po wschodniej stronie stokami wstało blade i zimne słońce. Chłopcy szybko podnieśli się z posłań. Przytupując nogami, rozcierali dłonie. Z ogniska pozostał jedynie popiół. Żaden z Trzech Detektywów nie podsyczał go nocą, gdyż koce i dodatkowe ubrania zapewniały im wystarczającą ilość ciepła.

- Nie zmarzliśmy - powiedział Bob. - To dobrze rokuje tacie.

Chłopcy zjedli na śniadanie ostatnią porcję gotowanej kukurydzy. Batoniki schowali na wieczór. Rozwiesili na krzakach koce, żeby wyschły, i pozdejmowali dodatkowe skarpety i koszule.

Bob wszedł do kabiny cessny i wyłonił się stamtąd z niewielkim kołnotatnikiem w dłoni.

- To brulion taty - wyjaśnił. - Na pierwszej stronie jest wczorajsza data i nazwisko oraz imię jakiegoś mężczyzny. Mark MacKein. Znać go?

- Nie - odparli zgodnie Jupe i Pete.

- Być może jest to ten facet, z którym tata miał się spotkać w Diamond Lake - zauważył Bob. - Data się zgadza, poza tym jest to jedyny notes, który tata wziął ze sobą.

Chłopiec włożył notatnik do kieszeni kurtki i trzej przyjaciele ruszyli przez łąkę ku skalnemu urwisku.

Bob pierwszy wspinał się na płaskowyż i czekał na kolegów obok ułożonego z kamieni stożka w kształcie piramidy. Z rękami opartymi na biodrach wpatrywał się w jałowy, skalisty krajobraz. Na głowie miał niebieską baseballową czapkę. Wyglądał teraz jak młodsza i szczuplejsza wersja ojca.

- No dobrze - powiedział zdecydowanie - musimy znowu rozejść się w różne strony. Wczoraj ja i Pete sprawdziliśmy ten obszar - zakreślił ręką łuk. - Teraz pójdę dalej na północ, w stronę lasu, a wy idźcie w prawo i w lewo. Za godzinę spotykamy się tutaj, przy znaku. Wszystko jasne?

Sprawdzili zegarki i rozdzielili się, by przeszukać skalisty teren, pokryty ogromnymi głazami. Poruszali się powoli, obserwując wszystko uważnie, by nie przeoczyć nawet najmniejszej szczeliny, w której mógłby utknąć ojciec Boba. Przez cały czas głośno go nawoływali.

Współ nie przetrząsnęli rozległy teren. Kiedy wracali na umówione miejsce,

każdy z nich miał nadzieję, że choć jego poszukiwania nie zostały uwieńczone sukcesem, to kolega miał więcej szczęścia i odnalazł pana Andrews lub też pan Andrews jego.

Niestety, prześladował ich nie tylko pech. Teraz mogli mówić wręcz o nieszczęściu. Kamienna piramidka, znacząca miejsce, gdzie Bob znalazł czapeczkę swego taty, znikła.

- Gdzie ona może być? - zastanawiał się zdziwiony Pete.

- Była tutaj - odparł Bob.

- Nie, tam - sprzeciwił się Pete.

Chłopcy kręcili się w kółko na kilku metrach szarego granitowego podłoża, gdzie do niedawna znajdował się zbudowany przez nich kopczyk.

- Obaj się mylicie - oświadczył Jupe. - Stożek był dokładnie tutaj. Pamiętam tę kępkę mchu na skale. Stąd zaczęliśmy poszukiwania.

Schylił się, podniósł z ziemi niedopałek papierosa i pokazał go kolegom.

- Zobaczcie, jaka biała jest bibułka. Niedopałek nie mógł leżeć tu zbyt długo. Z pewnością nie było go tutaj rano. Zauważyłbym go i wy z pewnością też.

- Co sugerujesz? - spytał Pete, mrużąc powieki.

- Że mieliśmy gościa - odparł za Jupe'a Bob. - Palacza, który zniszczył nasz znak. Podkraść się albo po prostu nas nie zauważył. Nasza tyraliera nieźle się rozciągnęła. Trudno kogoś dostrzec między tymi olbrzymimi głazami.

- Prawdopodobnie był to zwykły wandal. - Jupe uważnie oglądał niedopałek. Cienka szmaragdowa opaska otaczała białą bibułkę tuż powyżej długiego filtra. - Jakiś drogi gatunek papierosów. - Pierwszy Detektyw wrzucił niedopałek do jednej z pojemnych kieszeni swojej koszuli.

- Ruszmy się stąd lepiej - uznał Bob. - Taty tu nie ma. Głosuję za tym, byśmy przetrząsnęli teren, po którym wczoraj poruszał się Pete. Przecież widział kogoś. Może był to mój ojciec?

- Wątpię - odparł Pete.

- A ja nie. Nie miałeś okazji dokładnie go zobaczyć - zauważył Bob. - Jeśli tata znowu uderzył się w głowę, mógł być tak oszołomiony, że powędrował przed siebie.

- Ale jeśli to był rzeczywiście on, dlaczego nie odpowiedział na moje okrzyki? - nie rozumiał Pete.

Żaden z chłopców nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

- Możemy przynajmniej sprawdzić, kto w ogóle tam był. I postarać się

nawiązać kontakt z pracownikami służby leśnej - naciskał Bob. - Oni mają szansę przeszukać o wiele rozleglejszy obszar niż my.

Jupe i Pete popatrzyli na siebie i pokiwali głowami. Bob mądrze mówił. Służby leśne miały sprzęt i ludzi. Gdyby włączyły się do akcji, poszukiwania nabrałyby rozmachu.

Chłopcy wrócili do obozowiska. Szczapy w ognisku nawet się nie tliły, ale Jupe odruchowo wrzucił do niego śmiecie. Pete i Bob ułożyli pośrodku łąki wielki napis z kamieni: SOS. Poupychali po kieszeniach baloniki, a Bob wziął butelkę z wodą.

- Zabierzmy również koce - powiedział Pete - i resztę rzeczy z zestawu pierwszej pomocy. Kiedyś nieźle dostałem w skórę w tych okolicach. Przygotujmy się na najgorsze.

Przyjaciele pokiwali głowami. Bob żałował, że zeszłej nocy jego tata nie miał ze sobą koca.

Słoneczne promienie przedostawały się przez korony wysokich drzew, rozświetlając nieco ponury leśny mrok. Bob, Jupe i Pete maszerowali w szeregu wąską ścieżką, którą Pete przemierzył samotnie poprzedniego dnia. Bob wciąż miał na głowie baseballową czapkę. Przez cały czas rozglądał się dokoła, szukając ojca.

Chłopcy zbliżali się do otwartej przestrzeni, kiedy usłyszeli nad głowami szum samolotu. Szybko pobiegli na środek polany i zapamiętane machali rękami, by przyciągnąć uwagę lecącej wysoko maszyny.

Krzyczeli głośno; Pete wydobył z kieszeni srebrzysty koc z mylaru i powiewał nim jak oszalały. Bob i Jupe poszli w jego ślady. Zdesperowany Bob podskakiwał jak piłka. Za wszelką cenę musiał zdobyć pomoc dla swego taty.

Jednakże nikt w samolocie nie zwrócił uwagi na rozpaczliwe sygnały rozbitków. Maszyna oddalała się, powoli niknąc w przestworzach.

- Może zauważyli nasz znak SOS - powiedział z nadzieją

Wszyscy zdawali sobie jednak sprawę, że samolot leciał tak wysoko, iż było to mało prawdopodobne.

Bob ruszył dalej ścieżką.

- Sami musimy odnaleźć tatę.

Zmartwieni przyjaciele kontynuowali wędrówkę. Pete'owi, a potem Jupiterowi kiszki zagrały marsza.

- Głód w wydaniu stereo - zażartował Pete.

- Naprawdę jesteście szurnięci. - Bob uśmiechnął się.

Pete zatrzymał się nagle, przyciskając palec do warg. Popatrzył w lewo między konary sosen.

Bob podążył wzrokiem za spojrzeniem przyjaciela. Gałęzie drzew poruszały się nieznacznie. "Tata!" - pomyślał. Rozległ się ledwo słyszalny szelest, a po chwili chłopiec zobaczył jakąś szczupłą postać, przesuwaną się szybko od jednego drzewa do drugiego. Nieznajomy miał na sobie spodnie i kamizelkę. Bob poczuł rozczerowanie. Z pewnością nie był to jego ojciec.

Pete dał znak, aby Jupe i Bob pozostali na ścieżce. Sam oddalił się, migając między drzewami.

Dwaj chłopcy pobiegli ścieżką, próbując dotrzymać kroku koledze. Od czasu do czasu słyszeli z boku jego westchnienia szelest liści, ale ani razu nie dostrzegli postaci, którą ścigał.

Pete nie ustawał w pogoni. Był pewien, że śledzi tego samego człowieka, którego widział wczoraj. Dziś biegło mu się dużo łatwiej. Myśliwy i ścigana zwierzyna utrzymywali równe tempo do momentu, gdy nieznany osobnik zauważył, że ktoś depta mu po piętach. Na chwilę wybił się z rytmu, po czym ostro skręcił w prawo między kępą drzew, by zgubić pogoń tak, jak udało mu się to zrobić poprzedniego dnia.

Tym razem jednak Pete był sprytniejszy. Nie pobiegł za ściganym, lecz okrążył kępę drzew z lewej strony. Nagle się zatrzymał.

Patrzył prosto w czarne, błyszczące oczy chłopaka mniej więcej w swoim wieku. Był to Indianin, ubrany w czarną skórzaną kamizelkę i dżinsy.

Nieznajomy zamarł, ukryty w miejscu, gdzie drzewa rzucały największy cień. Zachowywał się tak cicho i stał tak nieruchomo, że sam z powodzeniem mógł uchodzić za pień. Nie drgnęła mu choćby powieka czy najmniejszy mięsień twarzy.

Pete oddychał ciężko.

- Słuchaj, potrzebna nam pomoc - zaczął.

Indianin nawet nie otworzył ust. Wyrwał się z odrętwienia, obrócił na pięcie i szybszy niż wiatr pomknął w leśny gąszcz.

Pete popędził za nim, ale młody Indianin był rączy jak jeleń. Zniknął w lesie, zanim się Pete obejrzał. Chłopiec jeszcze nigdy nie widział równie szybkiego biegacza. Kontynuował co prawda pościg, jednak z każdą chwilą coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że jego wysiłek jest beznadziejny. Narastała w nim złość na Indianina, który

nie chciał pomóc lub choćby porozmawiać.

Bob i Jupe nie zwalniając tempa, biegli ścieżką. Bob sadził długimi krokami, a Jupe sapiąc, starał się trzymać tuż za nim. Wydawało się, że morderczy pościg nigdy się nie skończy. Takie myśli nachodziły chłopców zwłaszcza wtedy, gdy Pete na dłużej zniknął im z oczu.

W pewnym momencie Pete pojawił się nagle na ścieżce, jakieś sto metrów przed swoimi przyjaciółmi. Włosy miał rozczochrane, twarz lśniła mu od potu, dyszał ciężko.

-Widzieliście go? - spytał, kiedy Jupe i Bob podbiegli do niego.

- Kogo?

- Tego Indianina!

- O czym ty mówisz? - zdumiał się Bob.

- Wygląda na to, że nam zwiął na dobre - odparł Pete. - Trudno, chodźmy dalej. Maszerowali więc leśną ścieżką, wiodącą łagodnie falującym górskim zboczem.

Pete opowiedział przyjaciółom, co się zdarzyło.

- Czyli przez cały czas kierował się w tamtą stronę. - Bob zamyślił się.

- Warto się zastanowić, co tam może być - dodał Pete.

- Cokolwiek to jest, niech będzie blisko.- Jupe naprawdę ledwo zipsał.

Zdecydowali się więc na pięciominutowy odpoczynek, żeby Pierwszy Detektyw mógł nieco odetchnąć, po czym z uporem ruszyli dalej.

Słońce stało już wyżej i w lesie zrobiło się gorąco. Nad głowami wędrowców przelatywały motyle, skrzeczały siedzące na gałęziach drzew sójki. W rozgrzanym powietrzu intensywny zapach sosen mieszał się z wonią potu maszerujących chłopców.

Pete gnany zniecierpliwieniem i niepokojem, szybko kroczył naprzód, a potem czekał, aby Bob i Jupe dotarli do niego. Za trzecim razem krzyknął, żeby się pospieszyli.

- Co on tam widzi? - zapytał Bob, kiedy dostrzegł Pete'a.

- Oby coś dobrego - zrzędził Jupe.

- Właśnie! - wrzasnął Pete. - Co myślicie o tej drodze?

Bob i Jupe szybko podbiegli do Pete'a, który stał na skraju wąskiej, wyłobionej koleinami polnej drogi. Wyłaniała się spomiędzy drzew od północno-wschodniej strony i ponownie zniknęła w lesie, biegnąc w kierunku południowo-zachodnim. Nie było to wiele, ale na tej drodze widniały przynajmniej

świeże ślady opon.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy widzieli ją z samolotu - powiedział Bob.

- Kiedy przelatywaliśmy nad tą okolicą, raczej nie podziwialiśmy już widoków - przypomniał Jupe. - Szykowaliśmy się na kraksę!

Popatrzyli na wznoszącą się i opadającą drogę, porośniętą krzakami i drzewami. Zmieściłoby się na niej półtora samochodu.

- Ruszamy w dół. - Jupe posłuchał nakazu swoich zmęczonych nóg.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Pete.

- Byle szybciej - popędzał Bob. Gdzieś w pobliżu był ktoś, kto mógł pomóc znaleźć jego ojca. Musiał do niego dotrzeć.

Zaczęli więc schodzić. Wkrótce droga pod ostrym kątem skręciła na zachód.

Była sucha i dobrze ubita. Chłopcy domyślili się, że głębokie koleiny powstawały podczas wiosennych i jesiennych deszczy. Zimową porą ziemia porządnie zamarażała i zapewne pokrywała ją kilkudziesięciocentymetrowa warstwa śniegu.

Przyjaciele maszerowali ramię przy ramieniu dnem kolein, gdzie grunt był dość gładki. Dokuczał im głód i zmęczenie, więc niewiele rozmawiali, skupieni na pokonywaniu kolejnych metrów. W pierwszej chwili wydało im się, że słyszą echo. Zdumieni popatrzyli jeden na drugiego. Co to mogło być? Wkrótce rozpoznali głosy ludzi i zwierząt. Krzyczały dzieci, szczekały psy. Nareszcie trafili na ludzkie zbiorowisko! Przyspieszyli kroku, na twarzy Boba pojawił się uśmiech.

Droga zakręciła szerokim łukiem, na jej końcu chłopcy zobaczyli skupisko walących się drewnianych chat, starych przyczep i bud z prefabrykatów, rozrzuconych wśród strzelistych sekwoi. Na zewnątrz domostw walał się sprzęt myśliwski i wędkarski, stały ogrodzenia dla kurcząt, ramy z rozciągniętymi na nich skórami przeznaczonymi do wysuszenia oraz bardzo stare, poobijane półciągarówki i dziipy, które już dawno temu powinny były trafić na złomowisko.

Jednym słowem dotarli do niewielkiej indiańskiej wioski. Dwoje dzieci ubranych w szorty i podkoszulki, z zaczerwienionymi oczami i ciekącymi nosami, oderwało się od zabawy i gapilo na obcych. Obok malców podskakiwał pies o brązowej sierści i wachał sportowe buty nieznanomym przybyszów.

W wiosce nastąpiło poruszenie. Kobiety i dzieci zaczęły się gromadzić na centralnym placu. Rozległy się uderzenia w bębny.

- Hej, stój! - wrzasnął niespodziewanie Pete.

Rzucił się w stronę jednej z bud i chwycił za ramię młodego Indianina,

ubranego w dżinsy i skórzaną kamizelkę. Szarpnął go tak mocno, że chłopak niemal stracił równowagę. Popatrzył na napastnika z dzikim, okrutnym wyrazem twarzy.

We wzroku Pete'a malowała się równa zawziętość.

- To ciebie ścigaliśmy - powiedział.

ROZDZIAŁ 7

TAJEMNICZA CHOROBA

- Co z ciebie za człowiek! - zawołał Pete do młodego Indianina. - Żeby tak przede mną uciekać!

W pierwszej chwili chłopak nastroszył się i zrobił gniewną minę. Przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu przewiercał na wylot przybysza. Jego pociągła twarz, okolona czarnymi, prostymi włosami, wyglądała naprawdę groźnie. Kiedy jednak rozpoznał Pete'a, rysy mu złagodniały. Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- Jak się tu dostałeś? - spytał zdziwiony. - Wyśledziłeś mnie? Oczywiście, że nie - odpowiedział sam sobie. - Po prostu nas znalazłeś! Wróciłbym do ciebie najszybciej, jak byłoby to możliwe. Przykro mi, że musiałem cię zostawić.

Tym razem zdumiał się Pete.

- Co to znaczy: musiałem? - zapytał.

- Zaraz ci wyjaśnię - odparł uprzejmie młody Indianin. Obciągnął na sobie krótką skórzaną kamizelkę, którą nosił do starych, wypłowiałych dżinsów. Odruchowo dotknął wielkiej, owalnej, srebrnej klamry u pasa. Była naprawdę piękna i niezwykła, pośrodku owalu miała wmontowany turkus. - Akurat poszukiwałem objawienia...

W tym momencie do Pete'a i indiańskiego chłopca dobiegli Jupiter i Bob.

- Nazywam się Daniel Grayleaf - przedstawił się grzecznie młody Indianin. - Ja...

- Czy masz telefon? - przerwał mu Bob. - Musimy dotrzeć do posterunku straży leśnej. Rozbił się samolot, którym lecieliśmy, a teraz zaginął mój tata. Nigdzie nie możemy go znaleźć!

Daniel pokręcił głową.

- Przykro mi, ale w wiosce nie ma ani telefonu, ani nawet radia. Żeby cokolwiek załatwić czy przywieźć, jeździmy do miasta.

- Czy mógłbyś nas wobec tego podwieźć do najbliższego posterunku? - zapytał Bob.

- Teraz nikt się stąd nie ruszy. - Z tyłu za przybyszami rozległ się głęboki, chropawy głos. - Kim są ci obcy?

Trzej Detektywi odwrócili się i zobaczyli krępego, muskularnego mężczyznę średniego wzrostu, o grubych rysach twarzy. Oczy miał zaczerwienione i łzawiące.

- Wujku, to są właśnie chłopcy, o których ci opowiadałem - odparł Daniel.

- Mam nadzieję, że nie rozmawiałeś z nimi.

- W lesie nie odezwałem się ani słowem.

- To dobrze. - Krępy mężczyzna uśmiechnął się do Daniela, jednakże na obcych przybyszów popatrzył surowym wzrokiem.

Pete, Jupe i Bob przedstawili się po kolei, a Daniel poinformował ich, że mają przed sobą wodza wioski i głównego myśliwego, Amosa Turnera.

- Mój ojciec zaginął. - Bob zrozpaczonym głosem wyjaśnił, co się stało.

- Jak możemy im pomóc, wujku? - spytał Daniel.

Bob z napięciem patrzył na wodza.

- Trudna sprawa. - Starszy człowiek zasepił się. - Za moich czasów nigdy nie podobnego się nie zdarzyło. Muszę się z kimś naradzić.

Odwrócił się i odszedł tak cicho i niespodziewanie, jak się pojawił. Bob poczuł rozczarowanie.

- Na razie nic nie możemy zrobić - zapewnił Boba Daniel. - Jeśli szczęście nam dopisze, wuj przyniesie dobre wieści.

Zmartwiony Bob pokiwał głową.

- Co to znaczy, że poszukiwałeś objawienia? - zapytał Jupe, żeby czymś wypełnić czas i odciągnąć myśli Boba od zaginionego ojca.

Zanim Daniel zdążył odpowiedzieć, Jupe'owi zaburczało w żołądku, bowiem z oddali doleciał go zapach jakiejś smakowitej potrawy.

- Opowiem o tym, ale może najpierw was nakarmię? - zaproponował Daniel.

- Świetny pomysł - odparł natychmiast Jupe.

- Co z twoją kukurydzą? - zażartował Pete. Jego żołądek również głośno domagał się stawy.

- Chcesz ją uprażyć? - Jupiter roześmiał się. - Nie zamierzam tak długo czekać.

- Zaraz wracam - zapewnił Daniel i pospieszył na polanę, skąd dochodziło nieprzerwanie rytmiczne walenie w bębny.

- Ten się umie poruszać. - Pete nie mógł ochłonąć z podziwu.

Boba dręczyła tylko jedna myśl.

- Muszą nas stąd jakoś podrzucić do strażnicy.

- Podrzucą - powiedział pewnym tonem Jupe, choć wcale nie był o tym do końca przekonany. Rozejrzał się dookoła, rozważając, co też może oznaczać to bicie w bębny.

Daniel rzeczywiście wrócił bardzo szybko.

- Chodźcie ze mną. Jedzenie jest już na stołach. Najpierw będą tańce, potem uczta, a na końcu obrzędy, jesteście naszymi specjalnymi gośćmi, więc wy zabierzecie się do ucztowania już teraz.

- Czy to znaczy, że ty musisz poczekać? - upewnił się stropiony Bob. - To nie w porządku.

- My też poczekamy - upierał się Pete.

Jupe przełknął ślinę.

- Z radością. - Postarał się, by jego słowa zabrzmiały szczerze.

Daniel roześmiał się.

- Nie wygłupiajcie się. Jedzenie jest gotowe, a wy umieracie z głodu. To dla nas zaszczyt, że zjecie pierwsi.

Niepewnie popatrzyli jeden na drugiego.

- Nie możemy obrażać gospodarzy - stwierdził Jupe.

- Jasne - zgodził się z nim Pete.

- Dziękujemy, Danielu. - Bob miał nadzieję, że gdziekolwiek jest jego ojciec, ktoś również go nakarmił.

Chłopcy ruszyli za Danielem przez wioskę. Starsi i młodszy mieszkańcy przyglądali im się ze zdziwieniem. Na centralny plac, na którym zebrały się już kobiety i dzieci, powoli nadciągali mężczyźni. Mieli nagie klatki piersiowe, naszyjniki z piór i kolorowych kamieni, a na głowach pióropusze. Kobiety ubrane były w suknie z paciorków. Ich szyje również ozdabiała naszyjniki. Niektórzy mężczyźni tańczyli w rytm uderzeń bębna i potrząsali czymś, co wyglądało jak dwa związane kijki.

- Rozgrzewają się - wyjaśnił Daniel. - Podejdźcie tutaj, weźcie talerze i nałóżcie sobie jedzenie. Możecie jeść i przyglądać się, a ja postaram się wam objaśnić, o co chodzi.

Kobiety zdjęły wiklinowe pokrywy z ogromnych półmisek z potrawami. Trzej przyjaciele nałożyli sobie porcje parującego mięsiwa, ziemniaków, grochu, wzięli też po dużym kawałku chleba. Widok prawdziwego jedzenia tak uradował Jupe'a, że nie żałował sobie podwójnych porcji. "Do diabła z dietą!" - pomyślał.

- Czy to dziczyzna? - spytał Daniela Pete, wskazując na jeden z półmisek.

- Tak, tu masz królika, a tam wiewiórkę. Dalej leżą ryby. Złowiliśmy je w Truoc, co w naszym języku oznacza rzekę.

Chłopcy usiedli na ławkach pod olbrzymimi sekwojami. Jako stoły służyły

szerokie skrzynie, oblepione etykietami, na których ujrzeli napisy: Części do silników. Kompania przewozowa Nancarrowa.

W pobliżu stała wsparta na belkach stara półciężarówka marki Chevrolet. Części jej silnika leżały porozkładane na innej skrzyni z etykietką kompanii przewozowej. Po drugiej stronie wioski płynęła czysta i głęboka Truoc, bardziej przypominająca duży potok niż rzekę.

- Czy jest to ta sama rzeka, która wypływa z doliny leżącej na północ stąd? - spytał Bob.

- Znasz tę dolinę? - Daniel nagle stał się podejrzliwy.

- O tyle, o ile - odparł ostrożnie Bob. Ugryzł kawałek dziczyzny. - Widziałem ją z daleka.

- Nikomu nie wolno tam wchodzić - powiedział Daniel. - To święte miejsce. Nazywamy je Doliną Przodków. Stanowi część naszego rezerwatu. Tam chowamy zmarłych. Czasami odprawiamy również obrzędy.

- Nie wchodziłem do doliny - zapewnił Bob. - Twoje plemię musi od bardzo dawna żyć w tych stronach.

- Skąd wiesz?

- Przekonały mnie o tym stopnie i skalne uchwyty. Gdyby nie to, że omal nie porwała mnie lawina, w ogóle bym ich nie zauważył. Chyba wykuto je bardzo dawno temu.

- Są tam od początku, kiedy Stwórca powołał do życia nasze plemię - wyjaśnił Daniel. - On także stworzył lawiny, żeby trzymać z daleka tych, co nie mają wiedzy. Zrobił również wierzby, z których witek pleciemy kosze, by ponieść w nich naszych zmarłych do doliny. Wszystko jest dziełem Stwórcy. - Chłopiec uśmiechnął się. - Wiem, że szukałeś swojego ojca. Przodkowie przyjęliby to ze zrozumieniem.

- Ale nie wykazaliby zrozumienia dla turystów.

- Nigdy - przyznał Daniel.

Jupiter zdążył zjeść połowę swojej porcji i od razu poczuł się lepiej.

- Pewnie dzieje się coś niezwykle ważnego, skoro nie wolno wam opuszczać wioski.

- Zachorowaliśmy - wyjaśnił Daniel. - Mamy zaczerwienione oczy, niektórzy kaszlą, kłuje nas w piersiach. Są też tacy, których piecze w żołądkach, jakby jakieś diabły w nich harcowały. Starszyzna uradziła, by odprawić śpiewane obrzędy, które pozwolą pozbyć się tej okropnej choroby. Do jutra do południa nikomu nie wolno

opuścić wioski.

- Czy nie powinniście raczej wezwać prawdziwego lekarza? - spytał Pete.

Jupe dał mu kopniaka pod stołem.

- Każdy ma inne metody - odparł Daniel. - Wy macie swoich doktorów, my swoich. Naszym jest szaman, śpiewający doktor. Odkąd pamiętam, troszczy się o nasze zdrowie. Jest bardzo mądry. Czasami wysyła nas do kliniki w Bakersfield, ale na ogół tego nie robi. Dotąd zawsze byliśmy zdrowi, a jeśli coś nam dolegało, szybko wracaliśmy do zdrowia. Od kilku miesięcy wszystko się zmieniło.

- Czy wasz zakaz opuszczania do jutra wioski dotyczy również i nas - dopytywał się Bob. - Może jednak ktoś mógłby nas stąd zabrać? Sprawa jest pilna.

- Tego właśnie wujek dowiaduje się od szamana.

Nagle bębny zadudniły głośniejsze. Zagrzechotały pałeczki. Rozległ się przeraźliwy, nieludzki jęk. Trzej Detektywi i towarzyszący im Daniel zafascynowani obserwowali, co dzieje się na placu.

Tancerze poruszali się w ogromnym kole, uderzając o ziemię stopami obutymi w mokasyny.

- Zauważcie, że podskakują i opadają nierównocześnie - powiedział Daniel. - Robią tak dlatego, że świat przypomina wielką łódź. Gdyby wszyscy oparli się o jedną burzę w tym samym czasie, łódź zakołysałaby się i przewróciła.

Wkrótce kilku tancerzy przesunęło się do środka koła i zaczęło tańczyć solo. Podskakiwali, wykonując dziwne, gwałtowne ruchy.

- Kiedy narodził się świat. Stwórca wyznaczył dziecięta, by zdawał mu sprawę z tego, co się na nim dzieje - wyjaśnił Daniel. - Teraz więc my wybieramy mężczyzn o czystych sercach, którzy skaczą pośrodku koła i potrząsają głowami w tył i w przód, podobnie jak te ptaki. Rozkładają ramiona, tańczą dokoła i śpiewają pieśń dziecięta, by przypomnieć jego duchowi, że ktoś jest chory i trzeba przekazać tę informację Stwórcy. Kiedy Stwórca dowie się o wszystkim, może obdarzyć doktora wielką siłą, która pomaga chorym wrócić do zdrowia.

Taniec trwał. Skóra tancerzy lśniła od potu; przemieszczali się dokoła i wewnątrz okręgu. Kobiety i dzieci patrzyły na nich, klaszcząc i śpiewając. Najciężej chorzy leżeli na matach, głowy mieli podparte derkami, by móc obserwować całą ceremonię. Była bardzo kolorowa i pełna ekspresji.

W pewnym momencie wszystko się skończyło. Umilkły bębny, a tancerze i publiczność przeszli do stołów zastawionych jedzeniem. Kobiety zdjęły pokrywy z

półmisków. Jupe zauważył, że tancerze mają zaczerwienione oczy. Teraz kilku z nich zaczęło kasłać.

Wkrótce zjawiał się wódz, którego Daniel nazywał wujkiem, oraz starszy mężczyzna o surowym wyrazie twarzy. Przyodziani w obrzędowe pióropusze przebijali się przez tłum. Mieszkańcy wioski odnosili się do starszego mężczyzny z tak dużym szacunkiem, że Trzej Detektywi domyślili się, iż właśnie on jest szamanem, tym śpiewającym doktorem. Chociaż obaj zatrzymywali się niekiedy, by porozmawiać z tancerzami, posuwali się jednak wytrwale w stronę Daniela i trójki gości. W końcu stanęli na wprost nich.

- Nie możemy wam pomóc - oznajmił wódz, Amos Turner. - Sami musicie opuścić wioskę. Nasza decyzja jest ostateczna.

ROZDZIAŁ 8

POSZUKIWANIE OBJAWIENIA

- Ryzyko jest zbyt duże - powiedział szaman. - Obrzęd musi pozostać nieskalany. Mamy tu wielu, bardzo wielu chorych.

Na pomarszczonej, zniszczonej przez wichry i słoty twarzy starego Człowieka malował się prawdziwy smutek. Bob, Jupiter i Pete zdawali sobie jednak sprawę, że niewiele to pomoże panu Andrewsowi.

- Lepiej, żebyście zostali w wiosce - nalegał wódz, Amos Turner. - Jutro ktoś was podwiezie, dokąd zechcecie.

- Musimy wyruszyć już dziś - odparł Bob. - Mój tata może być poważnie ranny.

- To ogromne terytorium, o wiele większe, niż wam się zdaje. Jak chcecie trafić do Diamond Lake? - Wódz plemienia wyraźnie nie aprobował pomysłu chłopców.

- Będziemy trzymać się drogi - powiedział Pete.

- Musielibyście przejść około osiemdziesięciu kilometrów - poinformował Trzech Detektywów Amos Turner.

- Osiemdziesiąt kilometrów! - Pete aż przełknął ślinę z wrażenia.

Jupe był już gotów się załamać, po czym nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Moglibyśmy pożyczyć od was którąś z półciężarówek – podsunął.

Po raz pierwszy, odkąd przybyli do wioski, ładna twarz Boba rozjaśniła się nieco. "To cały Jupe" - pomyślał. Zawsze potrafi zaproponować najprostsze rozwiązanie, na które nikt inny jakoś nie wpadł.

- Mamy prawo jazdy - powiedział szybko Bob.

- I pieniądze - dodał Pete, wyjmując z kieszeni portfel. Przechowywał w nim oszczędności, które przeznaczył na wakacje w Diamond Lake. - Zapłacimy.

- A także podstawimy ciężarówkę tam, skąd będziecie chcieli ją odebrać - uzupełnił Jupe. - Zadbamy o nią. Pozwolicie państwo, że wręcę wam naszą wizytówkę. Dotąd inni ludzie mieli do nas zaufanie i powierzali swoje sprawy do rozwiązania. Teraz prosimy, byście wy nam pomogli wybrnąć z kłopotów.

Jupiter wręczył wodzowi i szamanowi po małym białym kartoniku. Były to nowe wizytówki, zaprojektowane dla Trzech Detektywów.

Wódz trzymał kartonik przed sobą w sztywno wyprostowanych rękach. Szaman nawet nie spojrzał na wizytówkę, tylko od razu przekazał ją Danielowi, który

przeczytał na głos:

TRZEJ DETEKTYWI
Badamy wszystko

Jupiter Joneszałożyciel
Pete Crenshawwspółpracownik
Bob Andrewswspółpracownik

Wódz pokręcił głową.

- To nie jest dobry pomysł.

Szaman zmarszczył brwi.

- Być może, ale moim zdaniem nikomu nie przyniesie szkody. - Stare, wyblakłe oczy popatrzyły taksująco na chłopców. - Ci trzej i tak sobie pójda, więc lepiej udzielmy im pomocy.

Wódz zacisnął wargi. Był odmiennego zdania, ale decyzja należała do szamana.

- Dobrze. Przygotuję wszystko.

Odszedł, lawirując w tłumie ludzi zgromadzonych przy zastawionych jadłem stołach.

- Dziękujemy! - Bob uśmiechnął się z wdzięcznością.

Stary szaman także się uśmiechnął, w jego oczach przez chwilę zatańczyły wesołe iskierki.

- Ech, wy młodzi - mruknął. - Ciągle tylko same kłopoty. - Potem zwrócił się do Daniela. - No i co? - spytał.

- Zrobiłem, jak kazałeś.

- Opowiedz im o tym - polecił szaman. - Są ciekawi.

- Poszukiwałem objawienia - zaczął Daniel. - Przez dwadzieścia cztery godziny pościłem i biegłem przez las. Zatrzymywałem się tylko na modlitwę. Nocą spałem, by Stwórca mógł mi przekazać wiadomość.

- Co ci się przyśniło, wnuku? - spytał szaman.

- Wnuku? - zdziwił się Pete. - Czyżbyś był spokrewniony ze wszystkimi w tej wiosce?

Daniel i śpiewający doktor roześmiali się w głos.

- To jeden ze sposobów, w jaki okazujemy sobie szacunek - wyjaśnił Daniel.

Szaman przytaknął.

- Czyli wódz nie jest twoim wujkiem? - upewnił się Bob.

- A ja nie jestem wnukiem szamana. On jednak jest dla nas wszystkich jak dziadek.

Trzej chłopcy ze zrozumieniem pokiwali głowami.

- Mój sen był bardzo dziwny, dziadku - powiedział Daniel. - Szedłem w bród przez ogromne, zielone jezioro, a ryby same wpadały mi w ręce. Pomyślałem, że mam szczęście. Z ryb można przyrządzić smakowity posiłek. Zacząłem dziękować za dar. Ryb przybywało i było ich już tak dużo, że wszystkich nie mogłem schwytać. Zaczęły wskakiwać mi na plecy, na klatkę piersiową, na twarz. Uderzały o mnie, coraz mocniej i mocniej.

- Pomyślałeś, że mogłyby cię zatłuc na śmierć? - zapytał szaman.

Daniel pokiwał głową.

- Wrzuciłem wszystkie ryby do wody i wróciłem na brzeg.

- Postąpiłeś prawidłowo. Jaka stąd nauczka?

- Wszystko, co otrzymujemy bez wysiłku, często jest bezwartościowe, a czasem nawet złe - odparł natychmiast Daniel.

Szamana wyraźnie zadowolila taka odpowiedź.

- A jaką wiadomość przekazał ci Stwórca?

- We właściwym miejscu, lecz bez błogosławieństwa.

- Aha. - Szaman powtórzył usłyszane słowa. - Czy jest to odpowiedź na twoje pytanie?

Trzej Detektywi popatrzyli pytająco na Daniela.

- Nie rozumiem jej - odparł ze smutkiem młody Indianin. - Nigdy go nie znajdę.

- Stwórca udzielił ci odpowiedzi. Wykorzystaj ją - polecił szaman.

Daniel spuścił wzrok.

- Dobrze, Dziadku.

- Musisz się przebrać przed następną ceremonią.

- Dobrze, Dziadku. Powodzenia, chłopcy. - Uśmiechnął się do Boba, Pete'a i Jupe'a i odszedł.

- Do widzenia, młodzi wojownicy - pożegnał ich szaman. - Ufajcie tylko sobie.

Stary doktor wmieszał się w tłum. Rozdawał dokoła uśmiechy i rozmową pocieszał cierpiącą trzódkę.

- Patrzcie, tam jest wódz. - Pete wskazał chatę z falistej blachy, znajdującą się

około pięćdziesięciu metrów dalej.

Muskularny Amos Turner stał na zewnątrz i rozmawiał ze szczupłym Indianinem, który pocierał dłonie o nogawki dżinsów. Przez cały czas kiwał głową. Wyglądało na to, że przywódca wioski udziela mu jakichś instrukcji. W końcu wódz wrócił do stołów zastawionych jadłem, a drobny człowieczek zniknął w chacie. Obok tej chaty stało mnóstwo drewnianych skrzyń różnej wielkości. Na każdej widniała etykieta z nazwą kompanii transportowej Nancarrowa.

Jupiter usiadł, by dokończyć jedzenia. Już sięgał widelcem do talerza, kiedy tuż obok jednej ze skrzyń zauważył leżący na ziemi niedopałek papierosa.

Chłopiec schylił się i podniósł go. Był poźółkły i zgnieciony, miał jednak tę samą szmaragdową opaskę i długi filtr, co niedopałek znaleziony rano na skałach.

- Jupe, co się dzieje? - spytał Pete.

- Zobacz - odparł krótko Jupiter. Wyciągnął przed siebie dłoń, na której leżały oba niedopałki.

- Ale heca! - krzyknął Pete.

- Co to może znaczyć? - zastanowił się Bob.

- Nie mam pojęcia - odparł Jupe - ale chyba je zatrzymam. Nigdy nic nie wiadomo.

Od tłumu ludzi oderwała się młoda kobieta i podeszła do Trzech Detektywów.

- Jestem siostrą Daniela. Nazywam się Mary Grayleaf - zwróciła się do wszystkich trzech chłopców, ale wpatrywała się tylko w Boba. Uśmiechnęła się do niego czarująco i wrzuciła mu w dłoń kluczyk. - Wódz kazał mi powiedzieć, że wkrótce wasza półciężarówka będzie gotowa do drogi. Najedliście się?

- Aż nadto - zapewnił Bob, odwzajemniając spojrzenie.

Dziewczyna miała uderzająco piękną twarz, okoloną długimi prostymi włosami. Ubrana była w białą luźną suknię, jako ozdobę nosiła naszyjnik z turkusów. Podobnie jak inni mieszkańcy wioski miała zaczerwienione oczy. Były niemal tak czerwone jak hafty, które ozdabiały dół i rękawy jej sukni.

- Naprawdę jesteś siostrą Daniela, czy też jest to jeszcze jedno określenie, wyrażające szacunek? - zapytał Bob.

Mary Grayleaf najpierw trochę się zdziwiła, po czym roześmiała się wesoło.

- Naprawdę jestem jego siostrą.

Jupiter i Pete popatrzyli na siebie. Jupe uniósł brwi, a Pete stłumił chichot. Znowu to samo. Bob nawet nie musiał się starać. Gdziekolwiek się pojawił, jak

magnes przyciągał do siebie ładne, młode kobiety.

- Czy teraz będzie dalszy ciąg ceremonii? - spytał Bob.

- Tak. Szaman zaśpiewa i zatańczy - odparła dziewczyna, ciągle patrząc chłopcu w oczy. - Potem zacznie się modlić. Musi się przygotować duchowo, by otrzymać wiadomości od Stwórcy, który wyjawi mu, co sprawia, że chorujemy. Cokolwiek to jest, szaman rzuci na to czary i rozpocznie leczenie.

- Czary skutkują? - spytał z uśmiechem Bob.

- Zawsze - odparła z powagą Mary. - Leczenie również.

Jupiter nie mógł już dłużej znieść tej wymiany zdań.

- A co z tym poszukiwaniem objawienia?

Mary nareszcie zwróciła uwagę na Jupe'a.

- Czy wiesz, co usłyszał Daniel?

Jupiter zastanowił się przez chwilę.

- We właściwym miejscu, ale bez błogosławieństwa - odparł.

Mary zastanowiła się, po czym pokręciła głową.

- Nie wiem, co znaczą te słowa. Czy Daniel wiedział?

- Nie. Szaman kazał mu nad tym pomyśleć - odparł Bob. - Dlaczego to jest takie ważne?

- Ponieważ... - Mary zmarszczyła brwi i zamknęła oczy, jakby naszło ją jakieś bolesne wspomnienie. Szybko się jednak otrząsnęła i wyjaśniła: - Nasz prawdziwy wujek zaginął. Pomagał mamie wychowywać mnie i Daniela, kiedy nasz ojciec opuścił rezerwat. Ojciec zniknął wiele lat temu. Teraz to samo stało się z wujkiem. Wyszedł z wioski ponad miesiąc temu i Daniel szuka go po lasach.

- Dzieje się tu coś dziwnego - powiedział Bob. - Mój tata także zaginął.

Mary pokiwała głową, jej ciemne oczy posmutniały. Nagle zobaczyła, że ktoś z tłumu daje jej jakiś znak. Był to ten sam szczupły mężczyzna, któremu wódz przekazywał instrukcje. Trzej Detektywi nawet nie zauważyli, kiedy wyszedł z chaty.

- Wasza półcieżarówka jest już gotowa do drogi - oznajmiła, pocierając zaczerwienione oczy.

Poprowadziła chłopców na drugi koniec wioski, gdzie stały samochody. Po drodze mijali uwiązane na łańcuchach psy. W pewnym momencie detektywi zwrócili uwagę na wysoki kopiec z ziemi, o średnicy dużego domu.

- To coś w rodzaju łaźni parowej. Tutaj mężczyźni oczyszczają swoje ciała - wyjaśniła Mary.

- Chciałbym cię jeszcze o coś zapytać - zwrócił się do niej Jupe. Sięgnął do przepastnej kieszeni koszuli i wydobyl z niej dwa niedopałki. - Czy wiesz może, kto pali takie papierosy?

- Nie - odparła zdziwiona dziewczyna.

Rozczarowany Jupiter schował niedopałki do kieszeni.

Między starymi ciężarówkami i dżipami chłopcy zauważyli lśniącego, nowego, czerwonego forda pikapa.

- Należy do wodza - powiedziała Mary. - To dobry człowiek i najlepszy strzelec w wiosce. Kupuje nam nowe ubrania, narzędzia i części do samochodów.

- Skąd bierze na to pieniądze? - spytał Jupiter.

Mary wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Sądzę, że z dorywczej pracy w Diamond Lake. To nie moja sprawa.

- Poklepała zderzak zdezelowanego, zardzewiałego forda. - Ta stara półciężarówka również jest własnością Wodza. Chce ją wam wypożyczyć. Dbajcie o nią. Macie ją zostawić koło stacji straży leśnej w Diamond Lake.

Chłopcy upchnęli swoje rzeczy z tyłu samochodu i wsiedli do kabiny. Zauważyli, że brakuje pasów bezpieczeństwa. Pete zajął miejsce za kierownicą. Znał się na mechanice i był najlepszym kierowcą wśród Trzech Detektywów.

- Jedźcie przez cały czas naszą drogą na północ, aż do miejsca, gdzie łączy się ona z dwupasmowym traktem do zwózki drewna. Wtedy skręćcie na zachód. Trakt doprowadzi was do szosy. Skręćcie w prawo i kierujcie się już prosto na Diamond Lake.

Podziękowali dziewczynie, a Mary uśmiechnęła się i pomachała wszystkim na do widzenia, przez cały czas wpatrując się w Boba. Pete uruchomił silnik, strzeliła rura wydechowa, w całej wiosce rozszczękały się psy. Chłopcy odjechali, wzniesając za sobą tumany pyłu.

- Nareszcie cztery koła! - zawołał z satysfakcją Pete.

- Tak - mruknął Jupe. - Jakaś rekompensata za tolerowanie tej obrzydliwej popularności, jaką cieszy się Bob.

- Przykro mi, chłopaki - radośnie powiedział najprzystojniejszy z Trzech Detektywów. - Trzeba korzystać z tego, co Bozia dała.

Jupe i Pete popukali się w czoło.

Bob zagłębił się w fotelu i rozmyślał o Mary. Pete pochylił się do przodu i skoncentrował na prowadzeniu samochodu po wąskiej drodze, kierując nim tak, by

nie wpaść w koleiny.

- Wódz chyba nas nie lubi - zauważył Pete.

- Ale za to szaman darzy nas sympatią - powiedział Jupe. - Dopilnował, żebyśmy dostali samochód. Widzieliście wyraz jego twarzy, kiedy Daniel przekazał mu treść wiadomości, którą otrzymał? Ten człowiek rozumiał jej sens i wyraźnie był strapiiony.

- Podejrzewasz, że coś złego się stało z wujkiem Daniela?

- Miesiąc poza domem bez żadnej informacji... To dość długo - stwierdził Jupe.

- Ciekawi mnie też, dlaczego ci Indianie chorują. Mogli po prostu złapać wirusa, zastanawiam się jednak... - Pierwszy Detektyw zamyślił się, skubiąc dolną wargę. Był to jego zwykły odruch, kiedy coś głęboko rozważał.

Chłopcy przejechali kilka kilometrów i droga zaczęła się wznosić. Wjeżdżali na stromą pochyłość. Wczesnopopołudniowe słońce świeciło jasno, w rozgrzanym powietrzu mocniej pachniały sosny.

Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, głośno strzelił gaźnik. Ruszyli w dół stromizny, samochód szybko nabierał prędkości.

Pete wcisnął hamulce. Stara półciężarówka zwolniła. Chłopiec zdjął nogę z pedału i wóz znowu jechał coraz szybciej, mijając ze świstem krzaki i drzewa.

Pete ponownie przyhamował. Pojazd zwolnił na moment. Nagle odpadł pedał hamulca. Pete uderzył stopą o podłogę. Półciężarówka pomknęła w dół. Oderwany pedał leżał bezużyteczny na podłodze pikapa.

- Nie do wiary! - Pete z wrażenia nie mógł złapać tchu. - Wysiadły nam hamulce!

ROZDZIAŁ 9

SZALONA JAZDA

Zakleszczony w koleinach pikap coraz szybciej staczał się po stromym stoku wzgórza.

Pete trzymał się kurczowo kierownicy. Siedzącym pośrodku Jupiterem rzucało jak nadmuchiwaną piłką. Bob z całej siły chwycił za podłokietnik. Przy każdym wstrząsie któryś z chłopców uderzał głową o sufit.

- Użyj ręcznego! - krzyknął Jupe.
- To nic nie da. Jedziemy zbyt szybko!
- No i co?! - wrzasnął Bob.
- Może spadek się skończy! - zawołał Jupiter.
- Spróbuję zredukować biegi!

Pete mimo wszystko nie tracił zimnej krwi, choć pot spływał mu po czole. Chwycił dźwignię biegów, zawahał się, po czym przerzucił bieg z trzeciego na drugi. Motor zawył, kiedy nagle wzrosły obroty. Półciężarówka przechyliła się na bok i zaczęła zwalniać, jednak niewiele. Nadal mknęła w dół stoku.

- Popatrzcie! Zakręt! - krzyknął Bob.

Droga skręcała pod kątem w prawo i znikwała za zboczem wzgórza.

Trzej chłopcy zaczęli wrzeszczeć, kiedy samochód wykonał obrót na długim, stromym zakręcie. Z wypłukanego erozją zbocza sterczały nagie korzenie drzew.

Pete obrócił kierownicą w prawo, w stronę wzgórza.

- Otrę się bokiem o stok! Wtedy wytracimy prędkość! - zawołał.

Pikap wyskoczył z kolein.

- Uważaj! - wrzasnął Jupe. Na skraju drogi leżały zwały ziemi, kamieni i małych głazów wypłukanych ze zbocza. Koła pojazdu zaryły w nie głęboko.

Pete na chwilę stracił kontrolę nad kierownicą. Pikap zaczął się trząść jak bęben starej, automatycznej pralki.

Drugiemu Detektywowi udało się w końcu skrócić w stronę skarpy, jednak było już za późno. Półciężarówka stoczyła się, koła znowu wpadły w koleiny.

- Bawimy się od nowa - oznajmił ponuro Pete.

Zaklinowany w koleiny pikap pokonał następny zakręt, mijając skarpe.

- Spójrzcie! - zawołał Bob. - Pojedziemy w górę!

Przed oczami kierowcy i pasażerów pokazało się niewielkie, łagodnie pnące się

zbocze.

- Nareszcie! - Okrągła twarz Jupitera lśniła od potu.

Półciężarówka, jak kolejka górską, z rykiem zjechała do podnóża stromego wzgórza i natychmiast z tą samą, szaleńczą prędkością wjechała na szczyt mniejszego.

Pete'owi zbieleły kostki dłoni od kurczowego ściskania kierownicy. Bob rozpaczliwie wczepił się w listwę okienną, natomiast siedzący pośrodku Jupe jedną ręką zapierał się o deskę rozdzielczą, a drugą o sufit, próbując dodać sobie odwagi.

Skarpa została daleko w tyle. Obie strony drogi były gęsto porośnięte krzakami. Pikap zaczął stopniowo zwalniać, wjeżdżając na wzgórze.

Chłopcy odetchnęli z ulgą. Jeśli dotrą na długi, płaski grzbiet, ciężarówka w końcu się zatrzyma...

- O nie! - zawył Jupe, kiedy pikap osiągnął wierzchołek. Mimo iż jechał z mniejszą prędkością niż wcześniej, i tak zrobił to błyskawicznie, jakby się z tyłu palił. Przeskoczył na drugą stronę wzgórza, lądując z hukiem wpierw na tylnych, potem na przednich kołach, i zaczął się staczać tak szybko, że tylko migają kontury drzew.

- Trzymajcie się! - ryknął Pete, kręcąc kierownicą, by zapanować nad zarzucającym samochodem.

Pozbawionymi pasów bezpieczeństwa pasażerami miotano po kabinie na wszystkie strony. Stary pojazd trząsł się, jakby dostał ataku. Wylądował z powrotem w koleinach.

- Rozpadnie się na kawałki - powiedział Jupe.

- Gorzej. Zaraz spadnie! - krzyknął Bob, wychylając się przez okno.

Z prawej strony drogi nagle pojawiła się przepaść. Ledwie wystawały ponad nią czubki sosen, rosnących na stromym, granitowym, stumetrowym uskoku. Samochód nie miałby żadnych szans, gdyby zaczął się po nim staczać.

Pete starał się utrzymać pojazd w koleinach. Zdawał sobie sprawę, że chronią teraz samochód przed upadkiem w przepaść. Za następnym zakrętem stromizna została w tyle.

- Popatrzcie! - zawołał podniecony Pete.

Zobaczyli coś, co być może oznaczało koniec ich szaleńczej jazdy.

W oddali majaczyło wysokie, ciągnące się na wschód i na zachód granitowe urwisko. Droga skręcała pod kątem w prawo, biegnąc dokładnie wzdłuż niego. Gdyby Pete zdołał otrzeć się bokiem ciężarówki o skałę...

- Nie wygłupiaj się! - zawołał Jupe. - Skasujesz samochód!

- Pójdzie iskra, gdzie nie trzeba, i nastąpi eksplozja - dodał Bob.

- Macie lepszy pomysł? - Pete z determinacją zacisnął szczęki.

Jupe i Bob milczeli. Wpatrywali się w granitowe skały, które ciągnęły się teraz wzdłuż lewego skraju drogi.

Ford z rykiem silnika posuwał się naprzód. Znowu wyskoczył z kolein. Uderzył z hukiem o granitową skałę, po czym odbił się, aż poleciały iskry.

- O rany, chłopaki - mruknął Bob.

Pete skupił uwagę na urwisku. Lekko skręcił kierownicę w jego stronę, próbując równo ustawić forda. Pojazd dotknął skały. Znowu poleciały iskry. Ponownie otarł się o skałę. I jeszcze raz.

W kabinie panowało elektryzujące napięcie.

- Ostrożnie! - zawołał Jupe.

- Dasz radę, Pete - zachęcał Bob.

Pete powtórzył manewr z obrotem kierownicy. Półciężarówka dotknęła skały i jechała, ocierając się o nią bokiem. Zapiszczał metal, posypały się iskry.

W końcu pojazd zwolnił. Przez kilkanaście metrów sunął jeszcze ociężałe jak zmęczony słoń, potem stanął. Silnik pracował na jałowych obrotach. Pete wyłączył stacyjkę. Lewy przedni błotnik opierał się o skałę.

Pete, Jupe i Bob pozostali w kabinie, napawając się nagle zapadłą ciszą. W powietrzu unosił się kurz. Przez chwilę wszyscy siedzieli nieruchomo, nie mówiąc ani słowa.

- Pete, zniszczyłeś samochód - powiedział z powagą Jupe.

- Będziesz musiał zapłacić za naprawę - dodał Bob.

- Podniosą ci stawkę ubezpieczenia.

- Masz zaszarganą opinię kierowcy.

Pete obrócił głowę i z niedowierzaniem popatrzył na przyjaciół.

- Jak kiedykolwiek zdołamy ci się odwdziżyć? - Jupe poklepał Pete'a po plecach.

- Porozmawiamy o jeździe! - Bob wyszczerzył zęby, trącając przyjaciela w ramię.

Pete zaczął się głośno śmiać.

- Proszę bardzo, idioci! Zamierzacie siedzieć tu przez cały dzień? Muszę obejrzeć, jak wygląda maszyna. Zwracam uwagę, że nawet nie mogę otworzyć drzwi.

Chłopcy wygramolili się z poobtłukiwanej półciężarówki. Pete z

niedowierzaniem potrzęsnał głową.

- Poczekaj, Jupe, aż opowiem o tym twojemu kuzynowi.

Po stronie kierowcy od przedniego do tylnego zderzaka ciągnął się na całej długości szeroki, lśniący aż do połysku stalowy pas otartej z lakieru i rdzy karoserii. Bok był powgniatany, włącznie z drzwiami, od których odpadła klamka.

- Ho, ho - cmoknął Pete i wrócił do kabiny.

- Ho, ho? - powtórzył Jupe, idąc za przyjacielem.

Pete położył się, by obejrzeć pedał hamulca. Po chwili podniósł coś z podłogi.

- No i co? - spytał zniecierpliwiony Jupe.

Pete wyśliznął się z kabiny i wyprostował się. Trzymał w dłoni kawałek bolca.

Jupe obejrzał go uważnie. Dookoła bolca widać było niewielkie ślady piły.

- Założę się, że ma to związek z naszym brakiem hamulców - powiedział Jupe.

- Na pewno - odparł Pete. - Pedał hamulca przymocowany jest do wałka, który prowadzi do głównego cylindra pompy hamulcowej. Kiedy wciskasz pedał, tłok w cylindrze wypycha płyn hamulcowy do...

- Mógłbyś się streszczać? - przerwał mu Bob.

- No dobrze - mruknął Pete. - Ten bolec łączy pedał z wałkiem.

- I ktoś podpilował go tak, by odpadł przy pierwszym mocniejszym wciśnięciu pedału - powiedział spokojnie Jupe.

- Tak jest - potwierdził Pete.

Bob jęknął. Kiedy w tej sytuacji zdołają odnaleźć jego ojca?

Trzej przyjaciele popatrzyli sobie głęboko w oczy. Wpadli w poważne tarapaty.

- To robota jednego z Indian - powiedział Jupe.

- Wodza? - zastanawiał się Pete. - Nie darzył nas sympatią, ale czy to wystarczy, by pozbawić kogoś życia?

- Na pewno nie mógł zrobić tego Daniel - rozważał głośno Bob.

- Ani Mary - dodał Jupe.

- Ani Mary - powtórzył zdecydowanie Bob.

- Nie możemy tam wrócić po pomoc - stwierdził Pete.

- Skoro któryś z mieszkańców próbował nas zabić, to rzeczywiście wykluczone - przyznał mu rację Jupe. - Lepiej jechać do Diamond Lake. Czy dasz radę naprawić pedał hamulca?

- Jeśli będę miał nowy bolec, to tak. Skąd go jednak wziąć?

Pete i Bob przeszukali półciężarówkę. Nic nie znaleźli, nawet kawałka żelaza.

- Czy w cессnie może być potrzebny ci bolec? - spytał Jupe. - Z tyłu widziałem trochę narzędzi.

Pierwszy Detektyw ruszył na zachód, idąc wzdłuż skalnego urwiska.

Pete i Bob popatrzyli na siebie, a potem w ślad za Jupe'em.

- Słuchajcie, to nasze urwisko! - zawołał podniecony Pete.

- Na to wygląda - powiedział Jupe. - Możemy pójść na łąkę, wziąć bolec, wrócić, naprawić ciężarówkę i pojechać do Diamond Lake po pomoc dla pana Andrews.

Jupe westchnął ciężko. Był zadowolony ze swojego planu, ale z góry czuł się wyczerpany na myśl o wspinaczce, która go czekała.

Bob wziął z samochodu butelkę z wodą. Chłopcy obwiązali kurtki wokół talii i wrócili na szczyt wzgórza drogą wiodącą wzdłuż urwiska. Zobaczyli ślady, jakie pozostawił pikap. Z boku leżała oderwana od drzwi klamka. Bob kopniakiem posłał ją w krzaki.

Kiedy pokryta kurzem droga skręciła na południe ku indiańskiej wiosce, chłopcy zeszli z niej i ruszyli urwiskiem na zachód, w stronę lasu.

Sosny rosły coraz gęściej, a ich wierzchołki tworzyły nad głowami wędrowców potężne łuki. Ptaki śpiewały, lekki wiatr kołysał drzewami. Mimo ciepłego południa w cieniu panował chłód.

Nagle ciszę rozdarł huk wystrzału. Kula przemknęła ze świstem koło ucha Pete'a i uderzyła w pień pobliskiej sosny. W powietrzu lawirowały kawałki kory.

Jupe, Pete i Bob padli na ziemię. Nad ich głowami przeleciał kolejny pocisk. Zrozumieli, że ktoś do nich strzelał.

ROZDZIAŁ 10

Z PALCEM NA SPUŚCIE

- Gdzie oni są? - Trzej Detektywi usłyszeli dobiegający z lasu gruby, męski głos.

- Chodź, Biff - odpowiedział drugi głos. - Znajdziemy ich.

Głosy odbijały się echem od drzew i trudno było ustalić, gdzie dokładnie znajdują się rozmówcy.

- Dlaczego ktoś miałby do nas strzelać? - wyszeptał Bob, leżąc płasko z twarzą tuż przy ziemi.

- Nie wiem, ale lepiej tu nie sterczeć, by się tego dowiedzieć - odparł równie cicho Jupe.

Popatrzyli jeden na drugiego i pokiwali głowami. Potem wstali, nie robiąc najmniejszego hałasu.

- Ruszamy - ponaglił Pete i puścił się pędem między sosnami.

Bob i Jupe pospieszyli za nim. Biegli równolegle do urwiska, zmierzając w stronę łąki.

Ponownie rozległ się huk wystrzału, tak silny, że posypały się sosnowe igły. Chłopcy pochylili głowy i na czworakach szybko przemieścili się ku ogromnemu głazowi, by za nim poszukać schronienia.

- Gdzie oni się pochowali? - usłyszeli gruby głos, dobiegający z lasu.

- Przekłete nicponie - narzekał drugi z mężczyzn.

Stawiali ciężkie kroki, pod ich stopami trzeszczały gałęzie i chrzęścił żwir. Nie dbali o to, czy ktoś ich słyszy, czy nie.

Chłopcy ponownie ruszyli przed siebie. Pete biegł pierwszy i wybierał drogę.

- Tam są! - wrzasnął mężczyzna o grubym głosie. - Łapmy ich!

Kule przeleciały ze świstem obok uciekinierów i uderzyły w ziemię, wzbijając w powietrze tumany pyłu.

- Szybciej! - ponaglił Pete.

Biegł, kryjąc się w cieniu drzew, a pozostali chłopcy szli w jego ślady. By utrzymać kierunek, starali się nie tracić z oczu skalnej ściany. Jupe dyszał ciężko, ale dzielnie dotrzymywał kroku przyjaciółom. W końcu wszyscy przystanęli za gęstymi krzewami manzanita.

- Czy któryś z was zauważył, jak oni wyglądają? - wysapał Jupe.

- Nie. - Bob zdjął czapkę taty i wytarł spoconą twarz. - Dobrze się czujesz,

Jupe? Jesteś czerwony jak pomidor.

- Nie ma sprawy. - Jupe z trudem chwytał oddech. - Cóż to dla mnie. Spacerek przez park.

- Ruszajmy - rzucił Pete.

Chłopcy poszli dalej szybkim krokiem.

- Myślicie, że ich zgubiliśmy? - zastanawiał się Bob.

- Przy odrobinie szczęścia... - powiedział Jupe.

- Raczej nie zamierzali zrezygnować - zauważył Pete.

Trzej Detektywi wytrwale podążali na zachód podnóżem urwiska. Starali się trzymać blisko drzew czy głazów, za którymi w każdej chwili mogliby się skryć. Przewędrowali tak kilka kilometrów. Po drodze natknęli się na lśniący w promieniach słońca strumień, z którego zaczerpnęli wody do butelki.

- Jak daleko jeszcze? - spytał Pete.

- Jeśli dobrze idziemy, wkrótce powinniśmy dotrzeć na miejsce.

Znowu ruszyli przed siebie.

- Nareszcie! - krzyknął w pewnej chwili Pete, kiedy wynurzyli się z lasu i stanęli na krańcu dużej, znajomej łąki.

- Gdzie jest samolot? - zapytał natychmiast Jupe.

Zszokowani chłopcy wpatrywali się przed siebie. Cessna zniknęła. Nie było nawet odłamanego skrzydła. Jak to się mogło stać?

- Chwileczkę! - Pete uważniej przyjrzał się miejscu, w którym powinien znajdować się rozbity turbośmigłowiec. - Został zamaskowany!

- Ktoś okrył go szczelnie gałęziami - stwierdził Bob. - Zobaczcie! Nie ma również naszego znaku SOS.

- Teraz nikt nas tu nie zauważy - powiedział Pete.

- Coś mi mówi - zaczął wolno Jupe - że ktoś nas tu nie lubi.

- Chyba masz rację - zgodził się Bob. - Ale kto i dlaczego?

- Czyżbyście się zgubili, chłopaki? - dobiegł ich z tyłu basowy głos.

Trzej przyjaciele odwrócili się natychmiast.

Od południowo-wschodniej strony zbliżał się ku nim potężny jasnowłosy mężczyzna w przeciwsłonecznych goglach.

- Czy mogę wam w czymś pomóc? - spytał z przyjaznym uśmiechem.

Nieznajomy miał na sobie ubranie khaki, plecak, a przez lewe ramię przewieszony skórzany pokrowiec na karabin. Kłapa pokrowca była odpięta i

podskakiwała rytmicznie, kiedy mężczyzna maszerował.

- Skąd pan się tu wziął? - spytał zdziwiony Pete.

- Polowałem, dziś jednak nie dopisało mi szczęście - odparł. - Nigdy nie byłem w tym rejonie. Nie znam tej części gór.

Wyciągnął wielką, mięsistą dłoń.

- Nazywam się Oliver Nancarrow, dla kumpli Ollie.

Z przyjaznym uśmiechem przywitał się z każdym z chłopców, a oni przedstawili się po kolei.

- Czy ma pan, panie Nancarrow... to znaczy Ollie, jakiś samochód? - spytał z nadzieją Bob.

- Mam. - Nancarrow skinął dłonią w stronę urwiska. - Daleko stąd jest taki ubity trakt do zwózki drewna. Tam właśnie zaparkowałem. Trakt wiedzie na północ, do szosy, która prowadzi do Diamond Lake.

- Możemy się z panem zabrać, Ollie, prawda, chłopaki? - upewnił się Bob. - Chodźmy.

- Chwileczkę - powstrzymał ich Nancarrow. - Jeśli mam was podwieźć, powiedzcie mi chociaż, dlaczego chcecie ze mną jechać.

Bob opowiedział o katastrofie samolotu i zaginięciu jego ojca.

- Bardzo nam zależy na czasie - zakończył. - Tacie może być potrzebna pomoc.

- To wszystko? Nic więcej się nie wydarzyło? - dociekał Nancarrow. - Około godziny temu słyszałem jakieś wystrzały.

Chłopcy stropili się nieco. Gdyby opowiedzieli Nancarrowowi, że ktoś ich ścigał i w dodatku strzelał do nich, mógłby nie chcieć mieć z nimi nic wspólnego.

- Pewnie kręcą się tu jacyś myśliwi - odparł niedbale Jupe.

- Musimy się pospieszyć - nalegał Bob.

Nancarrow wahał się tylko przez chwilę.

- No dobrze. Coś mi się zdaje, że powiedzieliście mi tylko część prawdy. Wasza sprawa. I tak wam pomogę.

Nancarrow ruszył przez łąkę w stronę urwiska, mając Boba po prawej ręce, a Jupe'a po lewej. Pete szedł z tyłu.

- Pańskie nazwisko brzmi jakoś znajomo - zagaił Jupe podczas wędrówki. - Jest pan kimś sławnym?

- Bez przesady. - Nancarrow zachichotał. - Mam kilka małych restauracji w Bakersfield. A właściwie po co tu przyjechaliście wraz z twoim ojcem. Bob?

Bob wyznał Nancarrowowi, że jego tata jest reporterem i wybierał się do Diamond Lake na spotkanie z nowym informatorem.

Słuchając opowieści Boba, Nancarrow sięgnął do kieszeni i wyjął papierosa. Zdziwiony Pete uniósł brwi: palenie w tak suchym terenie było bardzo niebezpieczne. Jupe dał jednak koledze znak oczami, by nic nie mówił. Nancarrow palił papierosa z długim filtrem i szmaragdową opaską - taką samą, jaka była na niedopałku, który Jupiter po raz pierwszy znalazł na płaskowyżu w miejscu, gdzie leżała baseballowa czapeczka pana Andrews, a po raz drugi w indiańskiej wiosce. Jupe wiedział, że gdzieś już słyszał - lub widział - nazwisko Nancarrow. Czyżby właśnie u Indian?

- Przypuszczamy, że tata miał się spotkać z facetem, który się nazywa Mark MacKeir - zakończył Bob. Wyjął z kieszeni mały notatnik ojca i sprawdził, czy nie przekreślił nazwiska. - Zgadza się. Mark MacKeir. Mówi to coś panu?

- Dziwna sprawa - odezwał się Nancarrow. - Właściwie straszna. Nie znałem faceta, ale dziś rano usłyszałem w radiu, że Mark MacKeir wczoraj się zabił. Jechał do Diamond Lake. Wspominali chyba, że wybierał się na urlop. Stracił panowanie nad kierownicą, samochód wpadł do rowu i eksplodował. Kierowca zginął na miejscu.

- Koszmar... - Bob oddychał ciężko.

Wszyscy szli w milczeniu, rozmyślając o strasznej śmierci Marka MacKeira. Jupiter spojrzał na odpiętą klapę skórzanego pokrowca, który Nancarrow miał przewieszony przez ramię. Mężczyzna maszerował, a klapa unosiła się i opadała w rytm jego równych kroków. Kiedy była w górze, Jupe dostrzegł wystający z pokrowca kawałek ciemnego metalu. Pierwszy Detektyw skończył właśnie czytać książkę o broni i zbrojeniach. Kształt karabinu Nancarrowa wydał mu się niezwykle. Miał pośrodku wielką wypukłość. Pokrowiec został najpewniej wykonany na zamówienie, by pasował do tych dziwnych rozmiarów.

- Teraz wy i pan Andrews staliście się ważni - powiedział Nancarrow. - Kto wie, że tu jesteście?

- Kilka osób - Jupiter uprzedził Boba, zanim zdążył przyznać, że nikt. - Oczywiście wszyscy w redakcji.

- Czy to prawda, Bob? - Nancarrow odwrócił głowę w stronę chłopca.

Jupiter postanowił wykorzystać ten moment i unieść klapę pokrowca. Pragnął zajrzeć do środka.

Odczuwał jakiś niepokój związany z osobą Nancarrowa i chodziło o coś więcej niż fakt, że palił papierosy z niebieską obwódka. Skrzynie, które służyły jako stoły

podczas lunchu w indiańskiej wiosce, miały wydrukowane na bokach napisy: Kompania przewozowa Nancarrowa. Te same nalepki widniały na wszystkich drewnianych skrzyniach, stojących na zewnątrz jednej z chat. Jej właścicielem był Indianin, który dał Mary znak, że półciężarówka jest gotowa do drogi. Nancarrow skłamał. Nie tylko był wcześniej w tych stronach, ale wszystko wskazywało na to, że odwiedzał je często.

Bob popatrzył na Jupe'a. Zamrugął ze zdziwienia oczami, kiedy się zorientował, że przyjaciel usiłuje zajrzeć do środka pokrowca, ale szybko odzyskał przytomność umysłu. Zrozumiał, co powinien zrobić. Uśmiechnął się czarująco do Olivera Nancarrowa.

- Oczywiście - odpowiedział na zadane pytanie. - Tata powiedział wydawcy, że tu jedziemy, no i oczywiście księgowej, która musiała zaakceptować dodatkowe rachunki za hotel.

Jupe przechylał się, by zajrzeć do pokrowca, kiedy nagle Nancarrow się zatrzymał. Chłopiec natychmiast cofnął rękę i zainteresował się swoimi sznurowadłami.

Nancarrow po raz ostatni zaciągnął się papierosem, po czym wyrzucił niedopałek i wdeptał go w ziemię obcasem. Pete nie mógł znieść takiego zaśmiecania środowiska. Kiedy Nancarrow patrzył w drugą stronę, podniósł niedopałek i włożył go do kieszeni.

- Kiedy oczekują was z powrotem? - spytał Nancarrow Boba. Zbliżali się właśnie do wysokiego, szarego urwiska.

- Wczoraj mieliśmy zatelefonować - odparł Bob.

Chłopiec zorientował się już, że Jupiter nie ufa Nancarrowowi, a od dawna wiedział, że Pierwszego Detektywa rzadko myślą przeczucia. Poczęstował więc Nancarrowa wygodnym kłamstwem.

Kiedy Bob czarował Nancarrowa, Jupe ze zręcznością kieszonkowca uniósł klapę pokrowca.

- Wyślą kogoś, żeby was szukał? - Nancarrow zadał Bobowi kolejne pytanie.

- W każdej chwili w górach mogą się pojawić grupy poszukiwawcze - odparł Bob.

- Pomyśleliśmy, że przyspieszymy bieg wydarzeń, udając się po pomoc. - Pete podszedł do Nancarrowa z prawej strony.

Jupe zobaczył uchwyt służący do przenoszenia karabinu. Dostrzegłby więcej

szczegółów, jednakże w ułamku sekundy zrozumiał, dlaczego broń ma taki dziwny kształt.

Nancarrow nagle się zatrzymał.

- Zostaw! - wrzasnął ze złością. - Co ty wyprawiasz?

Chwycił Jupitera za rękę i odciągnął go na bok. Cofnął się o krok, by widzieć wszystkich trzech chłopców. Oczy zwęziły mu się jak szparki. Wydobył z pokrowca automatyczny karabin i skierował jego lufę wprost na nich.

- Zgadza się, M-16 - mruknął pod nosem Jupe.

Wypukłość w skórzanym pokrowcu miała pasować do kształtu charakterystycznego uchwytu i pokaznego magazynku.

- Co się tu dzieje? - spytał Bob.

- Tych karabinów używano w Wietnamie. - Jupe mówił spokojnie, ale serce biło mu w piersi jak oszalałe. - Obecnie są jednymi z najpopularniejszych karabinów na świecie. Służą jednak do zabijania ludzi, a nie do zabawy. Kim pan jest, panie Nancarrow? Czego pan od nas chce?

- Dobra, cwaniaczki - powiedział mężczyzna, wymachując bronią. - Próbowałem być miły, ale teraz koniec żartów. Ruszać się i jazda na górę. Idziecie ze mną!

ROZDZIAŁ 11

FORTEL

- Chodźcie - powiedział łagodnie Jupiter. - Nie chcemy przecież denerwować pana Nancarrowa. - Chłopiec powlókł się w stronę urwiska.

Niedawny zawadiaka nagle spokorniał. Pierwszy Detektyw występował jako dziecko w serialu "Małe urwisy", w którym grał rolę Małego Tłuscioszka. Nie lubił, kiedy mu przypominano ten epizod w jego życiu, ale trzeba przyznać, że był urodzonym artystą. Bob i Pete zrozumieli w jednej chwili, że Jupe teraz gra.

- Marsz! - rozkazał zimnym tonem Nancarrow.

Pete i Bob posłusznie ruszyli przed siebie. Nancarrow szedł z tyłu, trzymając karabin wymierzony w ich plecy.

- Czy tam, dokąd pan nas zabiera, jest także pan Andrews? - spytał słabym głosem idący z przodu Jupiter.

- Nawet o tym nie myśl, szczeniaku - warknął Nancarrow. Wybuchnął znaczącym, nieprzyjemnym śmiechem. - To moja sprawa, a wam nic do tego.

- To pan porwał mojego tatę! - zawołał przerażony Bob. - Dlaczego pan to zrobił?

- Bo tatuś był tak samo wścibski, jak twój przyjaciel - burknął Nancarrow. - I też za dużo gadał o niczym. Zamknij się już!

Maszerowali wszyscy na zachód, idąc wzdłuż podnóża urwiska, i szukali odpowiedniego miejsca, w którym mogliby rozpocząć wspinaczkę. Jupe głośno dyszał.

- Niech pan nas tak nie goni - narzekał.

- Przestań jęczeć. Nie zamierzam zwalniać - odrzekł opryskliwie Nancarrow.

- Och - stęknął Jupe.

Udał, że ześlizguje się po pokrytych mchem kamieniach, zachwiał się i wpadł na Boba. Zrobił to celowo. Bob zatoczył się do tyłu. Też z rozmysłem ominął Pete'a.

Pete najpierw się zdziwił, ale szybko zrozumiał, po co ta heca.

Nancarrow zmarszczył czoło, niepewny, co się dzieje.

Pete wykorzystał moment jego wahania. Obrócił się dokoła i wypracowanym ciosem karate popchnął karabin, tak że lufa przesunęła się w bok.

- W nogi! - wrzasnął do Boba i Juve'a.

Dwaj chłopcy poderwali się z ziemi i pognali przez łąkę w stronę lasu, widniejącego na jej zachodnim krańcu.

W tym samym czasie Pete szybko zmienił postawę i stanął przodem do Nancarrowa, po czym walnął go pięścią w klatkę piersiową.

Nancarrow zachwiał się i stracił równowagę, jednakże nie wypuścił z rąk karabinu.

Pete popędził w stronę sosen.

Na drzewa posypał się grad kul. W powietrzu zawirowały igły i kawałki kory. Ptaki z piskiem zerwały się do lotu. Chłopcy upadli płasko na ziemię, bezpiecznie ukryci w jakichś krzakach.

- Biff! George! - krzyknął Nancarrow. - Gdzie jesteście, śmierdzące lenie? Chodźcie tu. Szczeniaki próbują zwiać.

Pete uniósł nieco głowę. Widział stojącego na łące bandytę.

- Nancarrow nadaje przez walkie-talkie - oznajmił.

- Biff to jeden z tych, którzy nas ścigali. Ten o chropawym głosie - szepnął Bob.

- Wobec tego drugi musi być George'em - powiedział równie cicho Jupe. - Sądzę, że specjalnie zaganiłi nas w stronę Nancarrowa. Coś za łatwo udało nam się ich zgubić.

Jupe powiedział kolegom, co przyszło mu do głowy na temat Nancarrowa. Wspomniał o papierosach, jakie palił, i o drewnianych skrzyniach w indiańskiej wiosce.

- Nancarrow nie mógł jednak uszkodzić pikapa - uznał Bob.

- Nie było go tam wtedy.

- Moim zdaniem zrobił to wódz - powiedział Pete.

- Później o tym pomyślimy - oświadczył Jupiter. - Teraz ruszajmy.

- Co z moim tatą? - spytał Bob.

- Ze słów Nancarrowa wynika, że twój tata żyje - pocieszył przyjaciela Jupe. - Najpierw sami wydostańmy się z tarapatów, a potem go znajdziemy.

Popatrzyli na łąkę. Nancarrow ciągle tam stał, wpatrując się w drzewa.

- Oszczędza amunicję - domyślił się Jupe. - Nie będzie strzelał, dopóki nas nie zobaczy.

Chłopcy podnieśli się ostrożnie z ziemi i pobiegli między sosnami.

- Tu są! - ryknął Biff.

Bob, Pete i Jupe zrobili jeszcze kilka kroków i zamarli. Zobaczyli przed sobą kolejny karabin M-16.

Ciemnowłosy, mocno opalony mężczyzna o wyblakłych, niebieskich oczach,

przenosił lufę z jednego chłopca na drugiego. Zaczął się uśmiechać, ale spojrzenie miało lodowato zimne.

- Mam ich - powiedział z satysfakcją w głosie.

Trzej przyjaciele domyślili się, że jest to George. Z lewej strony chłopców pojawił się drugi mężczyzna, który również celował do nich z M-16.

- Tu gdzie chcieliśmy, no nie? - Głos niewątpliwie należał do Biffa. Był on chudziutkim mikrusem o krótkich, ciemnych włosach i nastroszonych brwiach. - Głupie te szczeniaki.

- W porządku, przyprowadźcie ich tutaj. Przed nami długa droga - odezwał się z oddali Nancarrow.

- Słyszeliście polecenie szefa - powiedział Biff. - Ruszać się.

Jupe, Bob i Pete popatrzyli jeden na drugiego. Pete wzruszył ramionami. Nic nie mogli zrobić.

- Kazałem wam iść! - warknął Biff.

Potem popełnił błąd. Dźgnął Pete'a w plecy wylotem lufy swego M-16.

Pete okręcił się i chwycił lufę, po czym wbił ją w brzuch Biffa.

Biff upadł bez tchu, palcami ściskając kurczowo kolbę.

Tymczasem Bob wyrzucił w górę nogę i wyuczonym ruchem kopnął George'a w podbródek. Mężczyzna zachwiał się tylko, więc Bob powtórzył ruch. George upadł na ziemię.

Jupe ukrył się za grubym pniem sosny. Patrzył, jak zbliża się do niego Nancarrow, i rozważał, czy nie użyć któregoś z chwytów dzudo. W ostatniej chwili zdecydował się na łatwiejszy manewr. Wystawił nogę.

Nancarrow potknął się i zachwiał, a wtedy Pete uderzył go łokciem w kark. Potężny blondyn zarył nosem w ziemię.

Trzej chłopcy pomknęli w las. Słyszeli, jak Nancarrow przeklina i wrzeszczy na swoich pomocników.

- Dostarczcie ich żywych! Nie będziemy ich dźwigać!

Trzej Detektywi biegli przez las, klucząc między drzewami i kamieniami. Kierowali się na południe. Z tyłu dudniły głucho kroki prześladowców.

Chłopcy byli coraz bardziej zmęczeni i zniechęceni, gdyż odgłosy pościgu nie milkły.

Pete skręcił w ubity trakt, biegnący na zachód. Bob rozpoznał go: szedł tędy dzień wcześniej, kiedy napełniał wodą butelkę.

- Potrzebny nam plan - wysapał Jupe. - Dłużej tak nie pociągniemy.

- Musimy ocalić tatę! - zawołał Bob.

Usłyszeli, że z tyłu ktoś krzyknął podnieconym głosem. Przyspieszyli kroku.

- Bandyci znaleźli ścieżkę - powiedział Pete.

- Chcą nas tu złapać - ostrzegł Bob.

- Zapomnijmy o pikapie. - Jupe ciągle biegł. - Pete, potrafisz znaleźć trakt, o którym mówił Nancarrow?

- Ten do zwózki drewna, który prowadzi do szosy? - upewnił się Pete. - Mary Grayleaf opisywała go. Droga z wioski miała się z nim łączyć.

- Właśnie - odparł Jupe, oddychając ciężko. - Trenowałeś sztukę przeżycia w dzikich warunkach. Jesteś najsilniejszy i najszybszy z nas wszystkich. Masz największą szansę, by dotrzeć do Diamond Lake.

- Nie ma sprawy - powiedział Pete.

- A my bierzemy na siebie Nancarrowa, prawda, Jupe? - upewnił się Bob.

- Prawda.

Tręcili jeden drugiego na pożegnanie i Pete oddalił się. Zszedł ze szlaku i ukrył się za drzewami. Zamierzał poczekać, aż Nancarrow minie go, ścigając Jupe'a i Boba, a potem wrócić na drogę i iść nią ku szosie prowadzącej do Diamond Lake.

Jupe i Bob pobiegli naprzód.

- Musimy gdzieś się skryć - powiedział Jupe.

- Co myślisz o dolinie? - spytał Bob. - Chyba w takiej sytuacji zmarli przodkowie nie będą nam mieli za złe, że wkraczamy na ich terytorium.

- Wspaniały pomysł! - Jupe ledwo zapał.

Bob zatrzymał się w miejscu, gdzie droga się rozszerzała.

- Lepiej się upewnijmy, że Nancarrow idzie za nami.

Jupe uśmiechnął się. Odetchnął głęboko i wrzasnął:

- Bob, jestem zmęczony! Muszę odpocząć!

- Zawsze jesteś zmęczony! - odkrzyknął Bob. - Już mam cię dość!

Jupe poczuł się lekko urażony, chociaż wiedział, że Bob udaje.

- Nic mnie to nie obchodzi! - ryknął. - Stańmy!

Chłopcy zaczęli nasłuchiwać. Usłyszeli z tyłu głucho dudnienie, jakby przebiegało tamtędy stado słoni. W porządku. Trzej bandyci ścigali ich dalej.

- Spójrz, jakie z nas gapy! - Bob wyciągnął dłoń, w której trzymał butelkę z wodą.

- Powinniśmy byli ją dać Pete'owi - przyznał Jupe.

- My po drodze trafimy na strumień - przypomniał Bob. - Kto wie, co znajdzie Pete.

ROZDZIAŁ 12

WISZĄCY NA SKALE

Echo niosło okrzyki Jupe'a i Boba po całym lesie. Ukryty między drzewami Pete nasłuchiwał uważnie. Wkrótce usłyszał na drodze tupot ciężkich kroków. Prześladowcy minęli jego kryjówkę. Przez chwilę chłopiec miał przed oczami śmiercionośne M-16, które nieśli Nancarrow i jego zbiry. Pete miał nadzieję, że Bob i Jupe są bezpieczni. Szybko przestał się tym zamartwiać, gdyż jego zadaniem było dotrzeć do Diamond Lake po pomoc. Teraz powodzenie akcji zależało od niego. Wrócił na trakt i zaczął biec długimi susami, by pokonać jak największy dystans i niezbyt się zmęczyć.

Wiatr się wzmagał, kołysząc drzewami. Zrobiło się chłodno. Pete dotarł na łąkę i zmierzał jej skrajem w stronę urwiska. Wyglądało na to, że Nancarrow nie ma więcej pomocników, ale nie można było wykluczyć takiej możliwości. Chłopiec na wszelki wypadek trzymał się blisko drzew, żeby w razie potrzeby skryć się między nimi.

Dotarł do urwiska i zaczął się wspinać. Zatrzymał się na szczycie, na odludnym płaskowyżu, by zaczerpnąć tchu. Tutaj znaleźli baseballową czapeczkę pana Andrewsa. Stąd prawdopodobnie go porwano. Tylko dlaczego? Pete nie widział w tym za grosz sensu.

Patrzył na porośnięte lasem górskie stoki. Ostry wiatr hulający po grani przenikał przez cienki podkoszulek, w który chłopiec był ubrany. Kurtkę miał owiązaną wokół talii, a koc z mylaru w kieszeni. Uznał, że obie rzeczy przydadzą mu się później. Żałował, że nie wziął od Boba butelki z wodą, ale było już za późno, by po nią wracać. Na szczęście zostało mu jeszcze kilka baloników Jupe'a.

Ruszył na północ, bacząc na to, w którym miejscu promienie słońca padają mu na ramiona i na plecy. Pozycja słońca była jego jedynym kompasem.

Szedł coraz wyżej, aż dotarł do skraju lasu. Rozejrzał się za ścieżką, a kiedy jej nie znalazł, ruszył dalej na północ przesieką między drzewami.

Teren stawał się coraz bardziej stromy. Pete na przemian to przyspieszał kroku, to zwalniał. Był silny i wysportowany, ale czuł, że wyciska z siebie siódme poty. Dzień dobiegał końca.

Kiedy słońce całkiem schowało się za horyzontem, Pete dotarł do grani. Zatrzymał się i popatrzył w dół.

To był prawdziwy cud.

Zobaczył ubity trakt, biegnący na wschód i na zachód. Podobnie jak indiańskie drogi, poryty był koleinami, ale za to dwa razy szerszy. Wyglądał dokładnie tak, jak opisywała go Mary Grayleaf.

Pete ześliznął się ze zbocza i przez chwilę odpoczywał i cieszył się sukcesem. Gdyby jakiś pojazd przejechał teraz tędy i zatrzymał się, aby go podwieźć...

Poczuł ból mięśni. Odbył długą wędrówkę, a czekało go jeszcze około czterdziestu pięciu, może nawet pięćdziesięciu kilometrów marszu. Jeśli szczęście mu dopisze, złapie samochód, kiedy dotrze do szosy.

Skreślił na zachód, kierując się ostatnimi kolorowymi smugami na niebie. Włożył kurtkę, gdyż temperatura szybko spadała.

Pete przeszedł po moście przerzuconym nad dwoma bystrymi strumieniami. Żałował, że obawa przed zarazkami nie pozwala mu się napić wody.

Po drugiej stronie mostu chłopiec się zatrzymał. W lewo od traktu biegło odgałęzienie, które wyglądało na drogę pożarową straży leśnej. Ciągnęło się w dół, wzdłuż strumienia. Furtka z metalowych prętów broniła wstępu niepożądanym przechodniom. Wisiała na niej nowa kłódka, połyskująca srebrzyście w świetle księżyca. Niewielka droga i bystry strumień ciągnęły się dalej na południe, znikając w przecinającym grzbiet wąskim wąwozie, który płynąca woda wyrzeźbiła wieki temu.

W pierwszej chwili Pete ucieszył się na myśl, że strażnicy leśni mają tu drogę. Potem przypomniał sobie, że drogi pożarowe zwykle są oddalone od ludzkich siedzib i rzadko używane - głównie podczas gaszenia pożarów lasów. Wydawało się mało prawdopodobne, by którykolwiek ze strażników pojawił się tu bez nagłej potrzeby.

Pete poszedł więc dalej. Zjadł wafelki. Marzył coraz bardziej i ogarniało go coraz większe zmęczenie. Na niebie świecił okrągły księżyc. Po górach niesło się wycie kojotów. Żaden inny odgłos tak bardzo nie kojarzył się z samotnością.

Zostawiwszy Pete'a w lesie, Bob i Jupe pognali przed siebie. Z tyłu słyszeli dudniące odgłosy pogoni. Ścigający zbliżali się coraz bardziej i uciekinierzy jeszcze przyspieszyli tempo.

Chłopcy cieszyli się co prawda, że prześladowcy są tak blisko, bo to znaczyło, że minęli kryjówkę Pete'a i nie zauważyli go, ale była i ta druga, gorsza strona medalu. Bob i Jupe musieli szybko znaleźć sposób, by na dobre zgubić deptających im po piętach uzbrojonych zbirów.

W milczeniu dobiegli do strumienia, który Indianie nazwali Truoc, czyli rzeką,

i ruszyli w górę, w stronę wejścia do Doliny Przodków. Silnie wiejący wiatr niósł ze sobą ostry zapach siarki, od którego piekły chłopców oczy.

Prowadził Bob, gdyż poprzedniego dnia przebył już tę drogę. Teraz przypominał ją sobie kawałek po kawałku. Kiedy osiągnęli osypisko, powyżej którego było wejście do doliny, ledwo dyszeli ze zmęczenia. Potężny wodospad spadał z hukiem ze skały i spływał przez kolejne progi.

- O rany! - zawołał Jupe. - Czy to tutaj omal nie dosięgła cię lawina?

- Wcześniej. - Bob popatrzył w dół. - Zobacz. Są tam!

Jupe podążył za spojrzeniem przyjaciela. Trzej mężczyźni właśnie okrążali wielki głaz. Na czele szedł Nancarrow. Wszyscy mieli karabiny przewieszane przez ramię. Byli około kilometra od miejsca, do którego dotarli Bob i Jupe. Bandyci popatrzyli w górę i zauważyli dwóch chłopców. Biff, mikrus o grubym głosie, wykrzyknął coś i potrząsnął pięścią.

- Lepiej stąd znikajmy - poradził Jupe.

Bob pospieszył z powrotem w stronę lasu, kierując się ku urwisku. Jupe trzymał się tuż za nim. W końcu Bob przystanął i wsunął palce w ledwo dostrzegalne chwyt w skalnej ścianie. Potem postawił stopę na prawie niewidocznym stopniu. Po tylu wiekach oddziaływania czynników atmosferycznych uchwyty wyglądały teraz niemal jak naturalne szczeliny w skalnej ścianie. Dopiero z bliska było widać, że powstały dzięki pracy człowieka.

Bob rozpoczął wspinaczkę.

Jupe ostrożnie chwycił pierwszy uchwyt i postawił stopę na wąskim stopniu.

- O kurczę - westchnął.

Pot spływał mu po czole i zalewał oczy. Balansował dość ryzykownie. Wcale mu się to nie podobało.

- Dasz sobie radę - ponaglał go Bob.

Wspiął się parę metrów, pokazując Jupe'owi drogę. Wolno zbliżali się do stromego urwiska ponad wodospadem. Po drugiej stronie znajdowała się Dolina Przodków.

Wysokie drzewa osłaniały chłopców przed wzrokiem ich prześladowców. Dopóki Nancarrow i jego kompani nie dojdą do progów, nie zdołają dojrzeć tego fragmentu skalnej ściany. Uciekinierzy mieli nadzieję, że do tego czasu uda im się bezpiecznie skryć w dolinie.

Jupe powoli przenosił na przemian dłonie i stopy z jednych uchwytów na

drugie. Ręce i nogi drżały mu z przemęczenia. “Dlaczego w ogóle zgodziłem się na tę eskapadę? Chyba postradałem rozum” - pomyślał.

W pewnej chwili prawa stopa ześliznęła się chłopcu z wąskiej półki. Stało się to tak szybko, że nic nie mógł zrobić. Znajdował się około dwudziestu metrów nad ziemią, wilgotna granitowa skała była śliska jak lód. Zanim Jupe zdążył postawić stopę z powrotem we właściwym miejscu, prawa dłoń zaczęła wysuwać się z uchwytu.

Rozpaczliwie próbował przytrzymać się skały. Serce waliło mu w piersi jak młotem. Im bardziej jednak zaciskał palce na kamiennym załamku, tym bardziej prawa dłoń puszczała zbawczy chwyt. W końcu wysliznęła się z niego całkowicie.

Czas jakby stanął w miejscu.

Jupe wisiał wysoko nad ziemią na jednej nodze i ręce. Ciało chłopca zaczęło niebezpiecznie odchyłać się od skały. “Zginę!” - pomyślał w panice. “Spadnę i roztrzaskam się o leżące w dole kamienie.”

- Jupe! - krzyknął przerażony Bob.

Jupe miał twarz białą jak prześcieradło. Uczucie grozy paraliżowało go zupełnie.

- Pochyl głowę! - krzyknął Bob. Bał się. Wiedział, że musi ocalić Jupe’a. - Przesuń prawe ramię! Teraz prawą nogę! Zmień punkt ciężkości, to z powrotem dociśnię cię do skały.

Jupe ani drgnął.

“Nie usłyszał mnie” - pomyślał Bob.

- Jupe! - ryknął znowu. Zaczął schodzić w stronę przyjaciela.

Jupe wyczuł jego obecność. Nie widział Boba i ledwo go słyszał. Powoli jednak rozsądne wskazówki przedostały się do zamulonego strachem umysłu. “Rusz głową!” - rozkazał sobie stanowczo Pierwszy Detektyw.

Kiedy Bob dotarł do niego, na bladej twarzy Jupe’a malował się wyraz rozwagi. Bob niemal widział, jak w pojemnym mózgu przyjaciela ponownie zaczynają się obracać trybiki. Pełen nadziei, wstrzymał oddech.

Jupe nagle rzucił się naprzód. Prawe ramię drgnęło i podążyło za głową, a w ślad za nim prawa noga.

Jupe znowu przylegał do skały. Dłonie i stopy automatycznie odnalazły swoje miejsca. Wyczerpany chłopiec znieruchomiał na chwilę.

- Udało się, Jupe! - zawołał podniecony Bob. - Wszystko już dobrze. Teraz chodź. Trochę wyżej znajduje się półka obrośnięta gęsto krzakami, za którymi

możemy chwilę odpocząć. Tam nas nikt nie zobaczy. No dalej, Jupe! Już blisko.

Jupe sztywnym ruchem wyswobodził dłonie z jednego uchwytu i sięgnął do następnego. Ten sam manewr wykonały jego nogi. Rozważnie, krok po kroku, trawersował skalną półkę, wciskając po kolei każdą dłoń i stopę w odpowiednią szczelinę tak mocno, jakby chciał je tam zostawić na zawsze.

Bob posuwał się do przodu. W końcu wgramolił się na wąską półkę. Gęste, kolczaste krzaki porastały jej zewnętrzną krawędź. Stanowiły znakomitą osłonę przed czymś niepożądanym wzrokiem.

- Już tu docierają! - krzyknął. - Pospiesz się!

Jupe kontynuował powolną wspinaczkę. Ani razu nie rozejrzał się dokoła. Po prostu wsuwał dłonie i stopy w uchwyty, potem przenosił je do następnych, aż zbliżył się do Boba tak, że przyjaciół mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jego palców.

- Udało ci się, Jupe - powiedział miękko. Dłonie Jupe'a były zimne jak lód.

Pierwszy Detektyw milcząc podciągnął się na półkę skalną. Wczołgał się za krzaki i siedział tam nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

- Gdzie oni są? - spytał w końcu ochryplym głosem.

- Bardzo blisko. Popatrz - powiedział Bob.

Od strony doliny dmuchał silny wiatr. Chłopców piekły oczy, kiedy przyglądali się, jak Nancarrow, Biff i George pokonują kilka ostatnich stopni wiodących do wodospadu.

- Gdzie są te przekłete głupki? - złościł się Nancarrow. Położył ręce na biodrach i przez gogle wpatrywał się w drzewa i skały.

Bob i Jupe wyciągnęli szyje, by poprzez huk wodospadu dosłyszeć jego słowa.

- Pozwoliliście im zwiać, idioci! - wrzeszczał na swoich podwładnych.

- Muszą gdzieś tu być, szefie - uspokoił Nancarrowa George.

- Znajdziemy ich! - Biff zaklął.

- Nie możemy dopuścić, by nam uciekli - powiedział ze złością Nancarrow. - Ten węszący reporter Andrews jest już w bezpiecznym miejscu. Teraz muszę dopaść jeszcze tych smarkaczy.

Jupe i Bob drgnęli na dźwięk słowa: reporter.

- Wygląda na to, że Nancarrow porwał twego ojca dlatego, że zamierzał on zbadać jakąś podejrzaną sprawę. Pewnie coś się zdarzyło w Diamond Lake.

- Biedny tata! - powiedział Bob. - Zastanawiam się, kim był MacKeir i co takiego wiedział.

- Musimy tak to urządzić, by wszystko wyglądało na wypadek - mówił dalej Nancarrow.

- Walniemy ich w czaszki - powiedział Biff. - Najpierw znokautujemy, tak jak MacKeira!

Bob i Jupe byli zszokowani. Czyżby ludzie Nancarrowa zabili informatora pana Andrews'a?

- Potem władujemy ich do samolotu razem z Andrewsem i podpalimy maszynę - poinformował kompanów Oliver Nancarrow. - Wszyscy pomyślą, że samolot się zapalił, kiedy rąbnął w ziemię. Zwykły wypadek, jak w przypadku MacKeira. Nikt nigdy się nie dowie, jak było naprawdę.

- Nikt nigdy się nie dowie - powtórzył jak echo Biff.

- Zrozumiałeś. - Nancarrow poklepał go po ramieniu. - A teraz wracaj, Biff. To może trochę potrwać. Dziś w nocy nadchodzi kolejna dostawa i ktoś musi ją przejąć. Ty się tym zajmiesz.

- Och, szefie - jęknął zdesperowany zbir.

- Postaraj się, to kiedy wrócę ze szczeniakami, pozwolę, byś sam się z nimi zabawił - obiecał Nancarrow.

Twarz Biffa rozjaśniła się.

- Okay - mruknął, odwrócił się na pięcie i pokłusował w stronę strumienia.

- O jaką dostawę może chodzić? - zastanawiał się Bob.

- Może tamta poufna wiadomość miała jakiś związek z dostawą Nancarrowa.

- Chodźmy, George - powiedział Nancarrow do drugiego kompana. - Za wodospadem jest dolina. Chłopaki mogą próbować tam się schować.

Nancarrow ruszył w górę osypiska.

George uśmiechnął się, prezentując swoje krzywe zęby. Mocniej przycisnął do boku karabin i ruszył za szefem ku urwisku.

Chłopcy zamarli. Skoro bandyci poszli w górę zbocza, wkrótce ich dostrzegą, a oni nie będą już mieli gdzie się skryć.

ROZDZIAŁ 13

DOLINA ŚMIERCI

Potężny Oliver Nancarrow i jego podwładny, George, ostrożnie przesuwali się po ruchomych kamieniach u podnóża urwiska. Nancarrow wypatrywał tę samą szczelinę, którą Bob zauważył wczoraj. Wsunął dłoń w zagłębienie, podciągnął się do góry i rozpoczął wspinaczkę.

- Kiepsko to wygląda - mruknął George. Przewiesił karabin przez plecy i ruszył za szefem.

Bandyci wspinali się bez wytchnienia, ich zaczerwienione od wysiłku twarze lśniły potem. Nieświadomie zmierzali wprost ku półce, gdzie ukrywali się dwaj detektywi.

- Jupe - szepnął Bob.

Jupiterowi ciągle drżały nogi i ręce, ale za to umysł pracował sprawnie. Chwytał odsłonięty korzeń rosnący w pobliżu półki i szarpnął mocno. Korzeń ani drgnął. Pociągnął mocniej i wyrwał go z kruchej skały. Jednocześnie posypały się kamienie, ziemia i piasek.

Nancarrow i George spojrzeli w górę. Kamienie toczyły się, zbierając po drodze napotkane odłamki. Duże kawałki skał spadały od ściany urwiska i mieszały się z obsuwającą się ziemią. Po chwili ruszyły głazy.

Dwaj bandyci zdążyli przeczłogać się nieco w bok, nim kamienna lawina minęła ich z hukiem.

- Szefie - zaczął drżącym głosem George. Ręce dygotały mu ze strachu.

- Darujemy sobie - powiedział Nancarrow. - Zawracamy. Nie mogli się tędy przedostać. Prześpimy się przy strumieniu, a rano ich znajdziemy.

Bob odetchnął z ulgą.

- Dzięki, Jupe.

Nancarrow i George ruszyli w dół.

Bob znowu objął prowadzenie i dwaj przyjaciele podjęli wspinaczkę po skalnej ścianie. Wkrótce rynną się rozszerzyła i wydostali się na otwartą przestrzeń. Nareszcie mogli podziwiać z góry bujną zieleń Doliny Przodków. Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając w dolinę długie cienie. Strumień, który spływał z góry, był szeroki i spokojny, porośnięty na brzegach wysokimi trawami. Raz po raz unosiła się para, prawdopodobnie z naturalnych gorących źródeł. Dolina była tak długa, że chłopcy nie

widzieli drugiego końca.

- Masz czerwone oczy - powiedział w pewnej chwili Jupe, wpatrując się w twarz przyjaciela. - A ja?

Bob przyjrzał się z bliska Jupiterowi.

- Ty też. Tak samo jak mieszkańcy wioski. - Zamilkł, zastanawiając się nad tym, co powiedział. - Słuchaj, oczy Daniela nie były czerwone. Kiedy go spotkaliśmy, właśnie wrócił z lasu. Przez cały dzień przebywał z dala od domu. Może to zapach siarki powoduje te dolegliwości. Wioska leży w dole, tuż nad rzeką Truoc. Śmierdzące opary docierają tam wraz z wiatrem wiejącym z doliny.

- Ludzie są naprawdę chorzy. Jestem pewien, że przyczyną choroby jest coś więcej niż smród siarki - stwierdził Jupiter.

Był skoncentrowany. Dokładnie stawiał nogi na stopniach, a dłońmi ścisnął uchwyty. Powoli opuszczał się coraz niżej. W końcu poczuł pod podeszwami coś miękkiego i odetchnął z ulgą. Nareszcie pewny grunt!

Rozejrzał się dokoła. Zauważył, że wiele kwiatów i krzaków paproci rosnących obok strumienia ma brązową barwę. Część z nich już zwiędła. Natomiast brzegi strumienia, który wydawał się dotąd krystalicznie czysty, pokrywała szara, pianista powłoka.

- Spójrz na tę pianę - zwrócił się do Boba.

- Ale świństwo. Co to jest?

- Nie wygląda na twór natury, prawda?

- Może to jakiś rodzaj zanieczyszczenia wody?

- Może - zgodził się Jupiter. - Oczy mnie pieką. Wynośmy się stąd.

Ostatnie złote promienie słońca znikły za górami. Dolina pogrążyła się w mroku. Zrobiło się zimno, więc chłopcy włożyli kurtki. Poszli dalej wzdłuż strumienia, przedzierając się przez gęste, zbrązowiałe zielsko, usychające w pobliżu wody.

- Katastrofa naszego samolotu była komuś na rękę - powiedział z namysłem Jupe. Sięgnął do kieszeni po wafelek i zaczął go jeść.

- Jak to? - spytał Bob. Napił się wody z butelki, a potem również wyjął swój balonik.

- Najpierw wysiadła elektryka - Jupiter mówił z pełnymi ustami - i spadliśmy. A któż czekał w pobliżu i chciał porwać twojego ojca? Oliver Nancarrow.

- Ojej! - Bob zrobił wielkie oczy. - Myślisz, że to on specjalnie uszkodził samolot?

- On lub któryś z jego ludzi.

Chłopcy w milczeniu jedli baloniki.

- Co teraz zrobimy? - spytał wreszcie Bob. - Musimy odnaleźć tatę!

- Idziemy dalej - zdecydował Jupiter. - Jeśli się nie mylę, ta dolina ciągnie się z południa na północ. To znaczy, że droga, o której mówiła Mary, jest przed nami. Może spotkamy tam Pete'a lub kogoś ze służby leśnej.

- W porządku. Przynajmniej Nancarrow nie przyjdzie tu za nami. Nie miał szczególnej chęci na wspinaczkę.

- Może zdołamy też ustalić, co sprawia, że Indianie chorują - dodał Jupe.

Dojedli baloniki, a papierki schowali do kieszeni, by nie zaśmiecać dzikiej przyrody.

W dolinie panowały ciemności, lekko rozjaśnione przez gwiazdy migocące na niebie. Ponad górami powoli wschodził okrągły księżyc.

Wyczerpani chłopcy szli dalej w jego świetle. Maszerowali brzegiem strumienia, to znowu oddalali się od niego, by nie ugrzęznąć w bagnistym terenie. Nagle Bob przystanął jak skamieniały.

- O co chodzi? - spytał szybko Jupiter.

Bob wskazał dłonią bez słowa. Około dwudziestu metrów dalej coś białego jarzyło się przeraźliwie w świetle księżyca.

Serce Jupitera zaczęło mocno walić.

- Czy ty widzisz to samo, co ja? - wyjąkał Bob.

Podeszli bliżej. Zobaczyli, że na ziemi leży więcej jarzących się przedmiotów, rozrzuconych na dużej przestrzeni między krzakami i głazami.

Bob drżał na całym ciele. Jupiter próbował odgrywać bohatera, lecz także trząsał się ze strachu.

Stali nad leżącą na ziemi długą, srebrzystą kością.

- S...spójrz, jaka długa - wydukał Bob.

- Ludzki piszczel - rozpoznał Jupiter. - Wygląda na to, że trafiliśmy na indiański cmentarz.

- Byłbym jeszcze szczęśliwszy, gdybym go ominął - stwierdził Bob. - Słuchaj, lawina musiała odsłonić te kości. Jak myślisz, ile ich tu jest?

Kości leżały porzucane na wielkim osuwisku, które zeszło z pobliskiego urwiska. Niektóre wystawały z ziemi.

- Widzę następny piszczel - powiedział Jupe. - A także kość udową, kilka żeber

i fragmenty kręgosłupa. Niemal kompletny ludzki szkielet.

- Jest i czaszka! - zawołał Bob. - To okropne!

Czaszka straszyla pustymi oczodołami i czarnym trójkątem w miejscu, gdzie niegdyś był nos. Zęby w opadłej szczęce szczerzyły się na wieki w upiornym grymasie.

- Coś tu jest! - Jupiter podniósł z ziemi jakiś błyszczący przedmiot. Była to srebrna klamra od paska z umieszczonym pośrodku ogromnym turkusem.

- Taka sama, jaką miał Daniel - stwierdził Bob.

- Prawdopodobnie należała do jego wujka. - Jupiter schował klamrę do kieszeni.

- Ale on opuścił wioskę zaledwie miesiąc temu. Te kości...

- Mogły je oczyścić dzikie zwierzęta.

Jupiter wpatrywał się w czaszkę. Nie odczuwał już strachu. Tylko mdłości. I smutek.

- Popatrz. - Wskazał na dwa okrągłe otwory.

- Dziury po kuli?

- Tak. Przebiła czaszkę na wylot. Ktoś najwyraźniej zamordował wuja Daniela.

Pete maszerował wytrwale. Noc była zimna, chłopca ogarniało coraz większe zmęczenie. W końcu zszedł z drogi i usiadł pod jakąś sosną. Owinął się kocem z mylaru, postanawiając chwilę odpocząć. Wtem usłyszał odgłosy jadących ciężarówek. Zmierzały jednak nie tam, dokąd chciał się dostać, lecz w stronę gór, skąd właśnie przyszedł.

Znużony Pete usiadł pod drzewem. Ciężarówki minęły go, jadąc na postojowych światłach. "Bardzo dziwne" - pomyślał chłopiec, zapadając w drzemkę. Dlaczego kierowca nie włączył drogowych...

Wydawało mu się, że spał twardym snem, kiedy znowu poderwał go warkot silników. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ.

Podniósł się z wysiłkiem. Tym razem pojazdy sunęły tam, dokąd i on zmierzał - ku szosie. Musiał je zatrzymać. To była jedyna szansa, by szybciej dotrzeć do miejsca, gdzie będzie mógł poprosić o pomoc dla pana Andrews, Boba i Jupitera.

Chłopiec dowlóknął się na skraj drogi i zaczął wymachiwać nad głową srebrnym kocem. Ciężarówki powoli toczyły się w jego stronę.

- Stać! - wrzasnął. - Stać!

Pojazd jadący na czele zwolnił, to samo zrobił ten z tyłu.

Podniecony Pete podbiegł do kabiny od strony pasażera. Pierwsza z ciężarówek stanęła; kierowca otworzył szeroko drzwi. Chłopiec wszedł na stopień i zaczął gramolić się do środka.

Podniósł głowę. Na wysokości oczu zobaczył lufę karabinu. Po krzyżu przebiegł mu zimny dreszcz. Przypomnił sobie słowa Jupitera: "M-16 służą do zabijania ludzi".

- Wsiadaj - warknął Biff. Uśmiechnął się złowieszczo.- Gdzie są twoi kumple, chłoptasiu?

Jupiter i Bob poczuli, że muszą odpocząć. Owinęli się w koce i zasnęli na łożu z paproci, z dala od miejsca, gdzie znaleźli szkielet. Nie rozpalili ogniska, gdyż uważali, że Nancarrow lub któryś z jego ludzi mógłby je zauważyć.

Wstali o świcie i ruszyli w drogę. W żołądkach burczało im z głodu, ale jedyne, co mieli, to surowa kukurydza, której nie mogli ugotować. Patrzyli tęsknym wzrokiem na rośliny i kwiaty, zastanawiając się, czy są jadalne. Obaj znali jednak starą zasadę przeżycia i w dziczy: jeśli masz wątpliwości, czy coś nadaje się do jedzenia, nie wkładaj tego do ust. Dzielnie znosili więc głód. Jupe na pociechę pomyślał o zbędnych kilogramach, które właśnie tracił.

Maszerowali wytrwale, mając strumień po lewej stronie. Nie było tam żadnej ścieżki, więc szli bardzo wolno. Wstrzymując oddechy, minęli gorące siarczane źródła. Od czasu do czasu na powierzchni wody widzieli szarą pianę lub wirujące, różnokolorowe plamy oleju.

W końcu dotarli na szczyt wzniesienia. Przystanęli i po raz pierwszy mogli się napawać ciężko odniesionym sukcesem. Dochodziło południe. Przed oczami mieli drugi kraniec zielonej doliny, lśniącej w blasku słońca. Dolina była bardzo szeroka. Kończyła się zboczem rzadko porośniętym drzewami, między którymi płynął strumień.

- Jest droga! - zawołał Bob, ściągając czapkę na tył głowy.

Niewielki trakt prowadził do górnej partii doliny przez głęboki, wąski wąwóz, którym płynął strumień. Zrobiono go na krawędzi tuż powyżej drugiego brzegu strumienia. Ciągnął się przez kilkaset metrów i kończył na płaskim, ubitym okręgu, przeznaczonym do zawracania.

- Nie wygląda jak droga do zwózki drewna, którą opisywała Mary - powiedział Bob.

- Ani trochę - zgodził się Jupiter.

Z trudem przeszli przez strumień. Smród stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Chłopcy wstrzymali oddechy i spojrzeli pod nogi. Na powierzchni wody unosiły się plamy oleju, tworząc wielobarwną tęczę. Wzdłuż strumienia ciągnęły się niewielkie czarne kałuże, wypełnione substancją podobną do smoły. Rosnące w pobliżu rośliny uschły lub właśnie dogorywały. Bob i Jupe szybko poszli dalej, łapczywie chwytając powietrze.

- To świństwo wygląda jak olej lub asfalt - uznał Bob.

- Śmierdzi dużo gorzej.

- Przypomina tę obrzydliwą substancję, którą wyprodukowałeś w laboratorium chemicznym - zaśmiał się Bob.

- To miał być eksperyment naukowy - zaczął z irytacją Jupe, ale po chwili i on zaczął chichotać. - Pamiętasz, jak pan Perry dostał ataku, kiedy to wybuchło i obryzgało cały sufit?

Dwaj przyjaciele pokładali się ze śmiechu, idąc w stronę ubitego okręgu. Widniały na nim liczne ślady opon ciężarówek.

- Ciężarówki! - Bob schylił się i podniósł z ziemi niedopałek, taki sam jak te, które wcześniej znalazł Jupiter.

- Na pewno z "dostawą" - stwierdził ponuro Jupe.

- Kompania Przewozowa Nancarrowsa! Może jest tu gdzieś mój tata! - zawołał Bob.

Chłopcy rozejrzeli się dokoła po zanieczyszczonym terenie. Od okręgu odgałęziała się inna wąska droga. Prowadziła na północny zachód, znikając w lesie między sosnami i brzoźami.

- Popatrz tam - zaproponował Jupiter.

Poniżej grzbietu po południowo-zachodniej stronie okręgu widać było serię naturalnych grot. Ślady opon prowadziły prosto do nich. Chłopcy natychmiast tam pospieszyli.

- Tato! Jesteś tu? - krzyknął Bob. W gardle mu zaschło z emocji.

Przyjaciele zbliżyli się do wylotów grot, ale wydobywający się z nich piekący odór okazał się nie do wytrzymania. Zaczęli kasłać, charczeć, więc wrócili do punktu wyjścia.

- Ta jakby mniej śmierdzi - uznał Jupe, zerkając do groty znajdującej się najbliższej drogi.

Zajrzeli do zacienionego wnętrza.

- Widzę jakieś kanciaste kształty - powiedział Bob.

Chłopcy weszli głębiej i zatrzymali się na chwilę, by ich oczy mogły przywyknąć do mroku. Przez ogromny, okrągły otwór do groty przedostawało się nieco promieni słonecznych.

Bob i Jupe z przerażeniem rozglądali się dokoła. Cała grotka aż po sklepienie zastawiona była setkami trzydziestolitrowych pojemników.

Jupe odczytał napis na etykiecie.

- Polichlorek dwufenylu - oznajmił.

- Kwasy - dodał Bob, czytając następną nalepkę.

- Zasady, utleniacze, odpady siarczane - kontynuował Jupe.

Chłopcy popatrzyli na siebie ze zgrozą.

- Toksyczne odpady - podsumował Jupe.

- Trafiliśmy na składowisko niebezpiecznych substancji - powiedział Bob.

Nagle ogarnęły ich ciemności. Spojrzeli ku wylotowi groty. Jakaś ciemna, groźna postać zasłaniała cały otwór.

Znaleźli się w pułapce.

ROZDZIAŁ 14

BRUDNE INTERESY

- Jupiter! Bob! Co wy tu robicie? - usłyszeli.

Chłopcy popatrzyli jeden na drugiego.

- Daniel? - upewnił się Jupiter.

- Skąd wiedziałeś, że to my? - spytał Bob.

- Wynoście się stąd! - powiedział ze złością młody Indianin. - Nikt nie ma prawa przebywać w świętej dolinie.

- Nie - odparował Jupiter. - To ty przyjdź do nas. Coś ci pokażemy. Zrozumiesz, dlaczego twoje plemię choruje.

Daniel zawahał się, po czym wszedł do jaskini.

- Poczekaj chwilę, żeby twoje oczy przywykły do ciemności - poradził Jupiter.

- Mam nadzieję, że nie robisz mnie w konia - ostrzegł Daniel.

- Jasne, że nie - zapewnił Jupe.

Pokazał nowemu przyjacielowi metalowe pojemniki. Z jednego, który stał w końcu jaskini, wyciekała na ziemię trująca zawartość. Chłopcy szybko wyszli na zewnątrz, byle dalej od gryzących oparów. Jupiter wyjaśnił, co zawierają

trzydziestolitrowe kontenery.

- Toksyczne odpady, które zatrują naszą wodę i powietrze? - nie mógł uwierzyć Daniel.

- Znowu masz czerwone oczy - powiedział Bob. - My zresztą też.

- To znaczy, że woda z Truoc prawdopodobnie nie nadaje się do picia, a mięso ryb do jedzenia - myślał głośno Daniel.

- Zwierzęta, na które polujecie, też piją wodę z tej samej rzeki - przypomniał Bob.

- W innych grotach panował taki smród, że nawet nie mogliśmy wejść do środka - opowiadał Jupiter. - Musi tam być pełno ciekących pojemników.

Daniel zasepił się. Pomyślał o niebezpieczeństwie, jakie niosą ze sobą toksyczne materiały. W końcu wybuchnął:

- Kto ośmielił się skalać naszą świętą dolinę?

- Oliver Nancarrow - odparł krótko Jupiter. - Ten od kompanii przewozowej. Znasz go?

- Oczywiście. Nasz wódz czasami pracuje dla niego. Ale przecież pan Nancarrow pomaga naszej wiosce...

- A także ciągle kręci się tutaj - zauważył Bob. - Gdzie Nancarrow przetrzymywałby mojego tatę, gdyby go porwał?

- Nie wiem. Nigdy nie byłem w tym końcu doliny. Ale możemy wytropić twojego tatę albo pana Nancarrowa.

- Czy znalazłeś nas, idąc po tropach? - spytał Jupiter, kiedy wracali w stronę ubitego okręgu.

Daniel pochylił się, studiując liczne ślady opon ciężarówek.

- Dziadek zwolnił mnie dziś rano ze śpiewanej części obrzędów. - Przystanął, by przyjrzeć się uważniej jakimś dużym odciskom. - Martwił się o was. Pożyczyłem ciężarówkę od cioci i znalazłem zepsutego pikapa. Wasze buty mają charakterystyczne rowki w podeszwach, więc śledzenie was było dziecinnie łatwe. Najpierw szły za wami dwie osoby, potem zauważyłem już odciski trzech par butów, co znaczy, że ścigało was troje ludzi. Biegliście, dwukrotnie stoczyliście walkę, a potem rozdzieliliście się. Pete, jak sądzę, poszedł inną drogą, ale ścigający podążali za wami dwoma.

- I ty zdołałeś to wszystko odgadnąć? - spytał zdumiony Jupiter.

- Dobrze znam las - odparł po prostu Daniel - a wuj nauczył mnie tropić ślady.

- Czy powiedziały ci one również, kto uszkodził pikapa? - zadał pytanie Jupe.

- Jak to? - Daniel był wyraźnie zszokowany.

Jupiter wyjaśnił, co się stało z pedałem gazu.

- Kto mógłby się zdobyć na coś takiego? - Daniel pochylił głowę. Po chwili podniósł ją, patrząc na chłopców roziskrzonym wzrokiem. - Cieszę się, że nic wam się nie stało. Pete musi być fantastycznym kierowcą.

Bob i Jupe przytaknęli.

- Hmm - chrząknął Bob, patrząc na Jupe'a.

Pierwszy Detektyw zrobił smutną minę. Było mu przykro, że musi zadać brutalne pytanie.

- Danielu, czy poznajesz ten przedmiot? - Jupiter wyciągnął dłoń, na której leżała srebrna klamra z turkusem.

Daniel wziął ją bez słowa. Była niemal identyczna jak ta, którą sam nosił.

- To klamra mojego wujka. Gdzie ją znaleźliście?

- W dolinie, obok szkieletu - odparł Jupe. - Kiedy tu szedłeś, musiałeś po drodze zauważyć wiele kości.

Daniel zamknął oczy i pokiwał głową. Zacisnął szczęki; po chwili nieco się uspokoił.

- Teraz już rozumiem, co chciał mi przekazać Stwórca - szepnął. - "We właściwym miejscu, ale bez błogosławieństwa". Ciało wujka leży w świętej dolinie, ale duch nie został pobłogosławiony, kiedy przenosił się do życia w zaświatach.

Trzej chłopcy zamilkli na moment.

- Czy po drodze przyglądałeś się kościom? - spytał miękko Jupiter.

- Nie miałem czasu się zatrzymywać. Martwiłem się o was - powiedział Daniel.

- Przykro mi, ale mam jeszcze gorszą nowinę. W czaszce były dwie dziury. Kula przeszła ją na wylot.

- Ktoś zastrzelił mojego wujka? - Daniel stał jak ogłuszony. - Kto i dlaczego to zrobił?

Bob opowiedział Danielowi o niby przypadkowej śmierci Marka MacKeira i o tym, że Nancarrow zamierzał pozbawić życia również pana Andrews'a i Trzech Detektywów.

- Sądziś, że wujek znalazł... to? - Daniel zatoczył łuk dokoła.

- Możliwe, że zdemaskował cały proceder - przyznał Jupiter.

Daniel coś sobie przypomniał.

- Podczas odprawiania obrzędów Dziadek dowiedział się, że to obca czarownica

ściągnęła na nas chorobę. Przepelniona chciwością czarownica, którą można zniszczyć, jedynie dając jej to, czego żąda.

- Tą czarownicą jest Nancarrow - stwierdził Jupe.

- Ale co to znaczy: dać jej to, czego żąda? - dziwił się Bob.

- Nie mam pojęcia. - Daniel schował do kieszeni klamrę swojego wujka. - Musimy się dowiedzieć. - Wskazał na odciski szerokich opon na ziemi. - To samochód Nancarrowa. - Młody Indianin ruszył po śladach.

Jupiter i Bob pospieszyli za nim, zafascynowani tym, jak wiele informacji potrafi uzyskać ich nowy przyjaciel z mnóstwa słabo czytelnych śladów na ziemi. Szli wąskim traktem, który piał się w górę między potężnymi sosnami i brzoźami. Kiedy stracili już z oczu grotę, zwolnili i posuwali się ostrożnie. Wkrótce zapach sosen pozwolił zapomnieć o śmierdzących oparach.

Daniel zatrzymał się.

- Oto i pojazd pana Nancarrowa. Przyjeżdża nim czasem do wioski i przywozi nam prezenty: jedzenie, amunicję, zabawki dla dzieci.

Przy końcu drogi stał zaparkowany na polance ogromny, luksusowy samochód kempingowy. Nie było go widać z dołu, drzewa osłaniały go przed toksycznymi oparami.

Daniel ruszył w stronę pojazdu.

- Zaczekaj! - krzyknął Jupiter. - W środku może ktoś być. Ci faceci są uzbrojeni w karabiny.

Daniel wskazał na ziemi odciski podeszew z wzorami w kształcie rombów. Prowadziły prosto do kempingowego wozu.

- Domyślcie się, kto tam jest? - spytał Daniel.

Jupiter i Bob pokręcili głowami.

- Pete. Wszyscy inni odeszli. - Młody Indianin pokazał ślady butów prowadzące w przeciwną stronę.

- Schwyтали Pete'a! - krzyknął Jupiter.

Popatrzyli na Daniela, jeszcze bardziej zdumieni i przestraszeni niż przedtem.

- Chodźmy - zarządził Indianin.

- Musimy jednak uważać - ostrzegł Jupe. - Nancarrow może być w pobliżu.

Pochyleni, pobiegli cicho do samochodu. Zatrzymali się przy nim i zajrzeli przez okna do środka. Wewnątrz znajdowały się dwie postacie. Pete siedział przywiązany do metalowego, kuchennego krzesła, w ustach miał knebel. Towarzyszył

mu drugi skrępowany osobnik.

- Tata! - wrzasnął Bob.

ROZDZIAŁ 15

ŚMIERTELNA PUŁAPKA

Jupiter i Bob zdjęli kneble z ust pana Andrews'a i Pete'a.

- Tato, dobrze się czujesz? - zapytał z przejęciem Bob.

- Teraz już tak - odparł wzruszony pan Andrews. Guz na jego czole nadal był ogromny, a rana paskudnie zaczerwieniona. Potrzebował doktora. Bob przyrzekł sobie, że natychmiast go poszukają, kiedy stąd uciekną. Mimo wszystko miał nadzieję, że to nastąpi.

- Jak cię pojмали, Pete? - dopytywał się Jupiter, rozwiązując więzy krępujące przyjaciela. Drugi Detektyw był bardzo wyczerpany.

- Byłem zmęczony. Zgłupiałem i dałem się schwytać - odparł Pete, upraszając znacznie sytuację. - Biff znał szlak przez las. Dotarł przede mną do drogi i wziął swój samochód.

Oswobodzeni więźniowie wstali, poruszając zeszywniałymi ramionami i nogami.

- Dzięki, chłopcze. - Uradowany pan Andrews ściągnął swoją niebieską baseballową czapkę z głowy syna.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Bob uśmiechnął się szeroko, po czym przypomniał sobie, że należałoby przedstawić ojcu Daniela.

Pete szybko doszedł do siebie, zrobił kilka pompek i ruszył do samochodowej lodówki.

- Jestem głodny - oznajmił, wyjmując masło kokosowe, chleb i karton soku. Pozostali również sięgnęli po jedzenie.

Pan Andrews chodził tam i z powrotem po ciasnym wnętrzu, przytrzymując się półek i oparcie krzesła.

- Dzięki Bogu, że nic wam się nie stało. Opowiedzcie mi, co się działo, kiedy siedziałem tu związany jak prosię.

Bob zrelacjonował przygody i doniósł, jakich odkryć dokonali w ciągu minionych dwóch dni.

- Mark MacKeir nie żyje - zakończył. - Nancarrow go zabił.

- Przypuszczam, że brudną robotę wykonał Biff - powiedział pan Andrews. - Chodził za Markiem krok w krok i wiedział, że zamierza spotkać się ze mną. George, który miał dostęp do naszych samolotów, uszkodził system elektryczny cessny, żeby

się mnie pozbyć. Umieścił maleńki ładunek wybuchowy na ważnym kablu za tylną ścianką kabiny.

- Musiał także zainstalować elektroniczny detonator. - Jupiter mówił z pełnymi ustami. - Dzięki temu Nancarrow mógł odpalić ładunek z ziemi.

- W polu swego widzenia - potwierdził pan Andrews. - Nancarrow chciał, żeby samolot spadł w takim miejscu, w którym on mógłby sprawdzić, że nie żyję. Przedstawiłem plan lotu, wiedział więc, gdzie mnie oczekiwać. Gdybym jednak przeżył, tym lepiej. Wyciągnąłby ze mnie, czy opowiedziałem komuś całą historię. Kiedy zobaczył was, zorientował się, że więcej osób jest zaplątanych w całą aferę. Przeraził się. Nielegalny interes, który tutaj prowadził, znakomicie prosperował, więc nie mógł sobie pozwolić na żadne dochodzenia. W końcu wyciągał z tego rocznie dobre pół miliona dolarów.

- Tyle forsy za składowanie odpadów? - zapytał zdziwiony Pete.

- Właśnie - odparł pan Andrews. - Wiedział, że czasu ma już niewiele. Jak myślisz, dlaczego Agencja Ochrony Środowiska nakłada grzywny na różne firmy w całym kraju? Legalne pozbywanie się odpadów przemysłowych jest konieczne, ale kosztowne. Wiele przedsiębiorstw zrobi wszystko, by oszczędzić sobie pieniędzy i kłopotów. Kilka miesięcy temu Agencja nakryła w Los Angeles przedsiębiorców, wlewających śmiercionośne płyny prosto do miejskiej kanalizacji.

- O rany! Przecież pracownicy oczyszczalni ścieków mogli się zatruć! A woda pitna! - zawołał Jupe.

- Dokładnie - odparł pan Andrews. - Po tym incydencie wydawca polecił mi zająć się sprawą niebezpiecznych odpadów. Zbiegło się to z telefonem od Marka MacKeira. Zadzwoił do redakcji i prosił o rozmowę z reporterem. Początkowo był tak wystraszony perspektywą tego, co się może zdarzyć, jeśli opowie mi o wszystkim, że nawet nie podał swojego nazwiska. Zdradził tylko, że pracował dla sieci sklepów samochodowych i odkrył, że ich właściciel obniżał koszty, płacąc jakimś podejrzanym osobnikom za wywóz odpadów. Nikt nikomu nie zadawał zbędnych pytań. Chodziło o płyny hamulcowe i akumulatorowe, zużyty olej silnikowy, rozcieńczalniki do farb. MacKeir porozmawiał z właścicielem i poprosił go, by zainteresował się całą sprawą, jednakże on nie tylko kontynuował proceder, ale jeszcze zagroził niewygodnemu pracownikowi, że go wyleje z roboty. Wtedy Mark zaczął śledzić owego przewoźnika odpadów - a był nim Nancarrow - i zdemaskował jego działalność. MacKeir był uczciwym człowiekiem, który pragnął, by przedstawić opinii publicznej prawdę o

nielegalnych śmietniskach i zagrożeniach, jakie niosą ze sobą toksyczne odpady. Dlatego zgodził się poinformować mnie dokładnie o wszystkim, co się dzieje.

Oparty o drzwi Daniel przysłuchiwał się spokojnie wywodom pana Andrews.

- Zatrują naszą dolinę - odezwał się w końcu. - Ziemię, wodę, zwierzęta, nawet powietrze, którym oddychamy. Sprowadzili na nas wszystkich chorobę, a być może zabili także mojego wujka.

- Rząd ma duże doświadczenie w likwidowaniu skutków toksycznych zanieczyszczeń. Zrobią, co będą mogli, by wam pomóc - pocieszył chłopca pan Andrews. - Przykro mi z powodu śmierci twojego wujka. Nie słyszałem, żeby któryś z bandytów o nim wspominał, więc nie wiem, co naprawdę się wydarzyło i czy oni maczali w tym palce.

Jupiter przesunął się do przodu i usiadł na fotelu kierowcy.

- Czy wystarczy panu materiału do napisania reportażu? - spytał ojca Boba.

- Mam świetny początek - odparł pan Andrews. - W biurku leży wiele notatek Nancarrows, tylko czekają, żeby je przeczytać. Ten samochód był jego biurem. Dzięki temu, że Nancarrow przez cały czas jest w ruchu, trudniej go schwytać.

- No to zmywajmy się stąd - zaproponował Pete. - Biuro zabieramy ze sobą. Jupe, przesuń się. Ja poprowadzę - oświadczył, idąc w stronę miejsca kierowcy.

- Nie, ja to zrobię - zaprotestował ojciec Boba.

- Pan jest chory - przypomniał Pete.

- On ma rację, tato - poparł przyjaciela Bob.

- Świetnie się czuję - zaoponował pan Andrews. Nagle zakręciło mu się w głowie i musiał chwycić się oparcia krzesła. Opadł na nie ciężko. - No cóż, chyba jednak wam ustąpię - przyznał.

- Nie mogę znaleźć kluczy - powiedział Jupiter. - Czy pan wie, gdzie one są? - zwrócił się do ojca Boba.

- Nancarrow musiał je zabrać ze sobą.

Wszystkim zrzędy miny.

- W porządku, uruchomię go bez kluczyków. Postaram się zewrzeć obwody z pominięciem stacyjki. - Pete ruszył ku drzwiom. Chciał wysiąść i otworzyć maskę samochodu.

- Poczekaj - rozkazał stanowczym tonem Daniel. Młody Indianin znieruchomiał tak, jak w lesie podczas nieoczekiwanego spotkania z Pete'em. Zamknął oczy, nasłuchując, co dzieje się za oknem. - Tam są jacyś ludzie - oświadczył.

Przykucnął szybko, to samo zrobiły cztery pozostałe osoby w samochodzie. Ukradkiem wyglądali przez okno.

Daniel miał rację. Między sosnami i brzozaami ktoś się poruszał. Kilka cieni przesunęło się po całej polance, od czasu do czasu błysnęła lufa karabinu.

- To zasadzka. - Jupiter oddychał ciężko. Wszyscy zamarli.

- Widzę Nancarrowsa - szepnął nagle pan Andrews.

- Jest także to krwiożercze bydlę, Biff - dodał Pete.

- Ten facet jest niebezpieczny. - Głos Boba drżał ze zdenerwowania. - Dręczenie i zabijanie ludzi sprawia mu przyjemność.

- Słuchajcie, towarzyszy im nasz wódz - stwierdził ze zdziwieniem Daniel. - Oraz Ike Ladysmith.

- Ike Ladysmith pracuje dla wodza? - Jupiter rozpoznał w Indianinie żylastego faceta, który dał znak Mary, że pikap dla chłopców jest gotowy do drogi.

- Czasami - odparł Daniel. - Patrzcie, wódz i Ike mają walkie-talkie! I nowe strzelby. Nawet nie wiedziałem, że ktokolwiek w naszej wiosce posiada taki wspaniały ekwipunek. Wódz jest znakomitym strzelcem. Strzelba jest najlepszym prezentem, jaki można mu ofiarować.

- Ruger 10/22. - Jupiter rozpoznał markę broni. Ogarnęła go panika. Jakim cudem zdołają się stąd wydostać, skoro otaczają ich przeciwnicy uzbrojeni w strzelby o tak dużej mocy?

- Mary powiedziała, że wasz wódz kupuje różne rzeczy dla mieszkańców wioski - dodał Bob. - Drogie rzeczy, takie jak części do samochodów. Poza tym posiada całkiem nowego pikapa. Może osiągnął dobrobyt dzięki temu, że Nancarrow płaci mu za milczenie na temat tego, co dzieje się w dolinie.

- To niemożliwe! Wódz jest człowiekiem honoru! - Ładna twarz Daniela spochmurniała.

W samochodzie powstało niemiłe napięcie. Bob niechcący sprawił, że w Danielu zaczęły narastać wrogie uczucia. Tymczasem przeciwnik na zewnątrz był wystarczająco groźny, by nie stwarzać antagonisty we własnym gronie.

- Sytuacja nie wygląda najlepiej - powiedział dyplomatycznie pan Andrews - ale Daniel ma rację. Brakuje wystarczających dowodów, by oskarżyć wodza lub Ike'a Ladysmitha.

- Kto wobec tego uszkodził hamulce, przez co niemal się nie pozabijaliśmy? - zapytał Pete.

Daniel przez chwilę wpatrywał się w niego z powagą, po czym odwrócił się.

- Nie wiem - odparł spokojnie.

- Tak czy owak, jedno jest pewne - powiedział Jupe, zmiierzając w stronę miejsca kierowcy. - Musimy wymyślić, jak się stąd wydostać, i to szybko.

- Czy jest tu jakaś broń? - Pete zaczął przeszukiwać niewielką szafkę gospodarczą.

- Daremny trud - uprzedził pan Andrews. - Nancarrow nie rozstaje się ze swoją strzelbą. Musimy znaleźć inny sposób.

Jupiter myślał szybko, błędząc dłońmi pod deską rozdzielczą.

- Przyznaję, że jeśli ciotka Matylda czegoś mnie nauczyła, to tego, że zawsze należy być przygotowanym na różne sytuacje. A taki facet, jak Nancarrow, naprawdę musi być gotowy na wszystko, zwłaszcza jeśli ten samochód jest jego biurem. A nie mówiłem? - Jupiter triumfalnie wyciągnął przed siebie dłoń, na której leżała niewielka kasetka. W takich pudełeczkach z przyczepionym magnesem ludzie przechowują zazwyczaj zapasowe kluczyki do samochodu. - Wyobraźcie sobie, że Nancarrow musiałby szybko się skądś wynosić, a kluczyki zostawiłby w innych spodniach. Co by wtedy zrobił? Byłem pewien, że ma dodatkowe.

Jupe z dumą wręczył kluczyki Pete'owi, który natychmiast zajął miejsce kierowcy. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Ruszamy, Pete. - Osłabiony pan Andrews znowu osunął się na krzesło. - Jedź tą drogą, którą przywiózł cię tu Biff. Cokolwiek by się działo, nie zatrzymuj się. Nawet jeśli przestrzelą opony. Zmierzamy prosto do Diamond Lake! - dorzucił ponagląjącym tonem.

Bob zerknął na ojca. Pan Andrews rzadko okazywał strach, ale tym razem sobie na to pozwolił.

Pete pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

- Wszyscy na podłogę. Trzymajcie się czegoś.

Chłopcy i pan Andrews wykonali polecenie. Daniel leżał spięty, gotów do działania w razie potrzeby. Bob zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś zobaczy którąś ze swoich dziewczyn. Jupiter modlił się w duchu, żeby tym razem dopisało im większe szczęście niż w fordzie pikapie.

Pete odetchnął głęboko i przekręcił kluczyk w stacyjce. Motor zawarczał. Mogli jechać.

ROZDZIAŁ 16

ZNISZCZYĆ CZAROWNICĘ

Pete prowadził samochód, skulony nad kierownicą, by jak najmniej wystawiać się na cel. Szybko okrążył polankę. Kątem oka zauważył zdziwienie, jakie malowało się na szerokiej twarzy Olivera Nancarrowa.

Wkrótce potem kule zaczęły siec karoserię. Ze świstem przebijały ją z jednej strony i wylatywały z drugiej.

- Wszyscy cali? - krzyknął Pete.

- Cali! - zawołała chórem czwórka pasażerów.

Kanonada trwała. Niektóre kule zamiast w samochód trafiły w drogę, wznosząc ogromne chmury pyłu.

Pete zmierzał w stronę traktu wijącego się między sosnami i brzoźami.

Przy boku Olivera Nancarrowa pojawił się ponury, krzepki wódz indiańskiego plemienia. Rozwścieczony przekonywał o czymś bandytę. Nancarrow wysłuchał Amosa Turnera, po czym dał znak swoim kompanom, by zaprzestali ognia. Odpiął od pasa walkie-talkie i powiedział coś do mikrofonu.

Kiedy samochód z uciekinierami mijał Nancarrowa, twarz bandyty wykrzywił złowieszczy uśmiech. Pete nie mógł zrozumieć, co wprawilo ich prześladowcę w tak dobry humor. Przecież mu uciekali.

- Puszczają nas! - powiadomił przyjaciół.

Samochód toczył się wąskim, krętym traktem. Pete ostrożnie naciskał pedał gazu. Z powodu licznych zakrętów widoczność miał ograniczoną do niecałych dziesięciu metrów. Pojazd kołysał się z boku na bok, zahaczając o gałęzie sosen.

Nagle kierowca zrozumiał, dlaczego Nancarrow się śmiał. Gwałtownie wcisnął hamulec.

- Co się dzieje? - zawołał ktoś z tyłu.

Jedna z ciężarówek z firmy Nancarrowa stała zaparkowana w poprzek wąskiej drogi, dokładnie w tym miejscu, gdzie łączyła się ona z ubitym okręgiem. George lub jakiś inny człowiek Nancarrowa musiał przyjechać z ładunkiem odpadów. Nawet gdyby Pete prowadził małego garbusa, a nie wielki kempingowiec, i tak nie zdołałby ominąć blokującego drogę pojazdu. Tylnym i przednim zderzakiem dotykał pni drzew.

- Jesteśmy w pułapce! - wrzasnął Pete.

Zatrzymał się z piskiem opon. Zza ciężarówki Nancarrowa wyszedł George z karabinem wymierzonym w Pete'a. Do paska miał przymocowane walkie-talkie.

Czterej pasażerowie kempingowca rzucili się do okien.

- Co teraz zrobimy? - jęknął Bob.

Jupiter zaczął skubać dolną wargę.

- Wyłaźcie z wozu, cwaniaczki! - ryknął George. - Podaruję wam jeszcze parę chwil życia tylko dlatego, że szef tak kazał.

- Nancarrow i jego ludzie wkrótce tu będą - ostrzegł pan Andrews.

- Mam pewien pomysł - oświadczył spokojnie Jupe. - Odciągnę uwagę George'a, a wy zwiewajcie.

- Ruszać się tam! - ponaglił stojący na zewnątrz bandyta.

- Uważaj na siebie - polecił pan Andrews.

Jupiter pokiwał głową. Chwycił klamkę, zatrzymał się, po czym wziął głęboki oddech i otworzył drzwi samochodu. Rękami obejmował głowę i mrużąc oczy, pozorował okropne cierpienie.

- Ojej - jęczał, wytaczając się na zewnątrz pojazdu. - Jestem taki chory! - narzekał, kuśtykając w stronę George'a.

Bandyta zmarszczył brwi i popatrzył podejrzliwie na chłopca. Wycelował do niego z karabinu.

- Umieram z bólu - wył Jupiter, konsekwentnie prac naprzód. - Pomóż mi!

- Wynoś się stąd! - wrzasnął George.

Jupiter niby przypadkowo podniósł rękę i odepchnął na bok karabin.

- Pomóż! - Rozpaczliwie rzucił się na George'a.

- Psiakość!

Pete wybiegł z samochodu, za nim Bob, Daniel i pan Andrews.

Jupe i George upadli na ziemię. Pierwszy Detektyw był na górze.

- Złaź ze mnie, grubasie! - warknął George, usiłując wysliznąć się spod cielska Jupitera.

- Tamci zwiewają! Zatrzymaj ich! - krzyknął nadchodzący drogą Nancarrow. Wraz z towarzyszącymi mu mężczyznami pobiegł w stronę ciężarówki.

Jupiter skoczył na równe nogi. Bob i pan Andrews uciekli do lasu. Pete przeciął okrąg i zmierzał w stronę drogi, która wyprowadzała z doliny. Daniel pomknął jak wiatr ku kolejnej ciężarówce z firmy Nancarrowa. Jupe pobiegł za Pete'em.

Indiański wódz jednak ruszył za nim i szybko zbliżał się do Pierwszego

Detektywa. Jupiter obrócił się i pognął ku grotom. Wpadł na pewien pomysł. Przypomniał sobie, z jaką złością przemawiał Amos Turner do Nancarrowa jeszcze parę minut temu.

Wbiegł do pierwszej groty z toksycznymi odpadami.

- Wynoś się stamtąd! - krzyknął Amos Turner, wchodząc za chłopcem do skalnej pieczary. - Już dość kłopotów nam przysporzyłeś. Nikt nie ma prawa przebywać w świętej dolinie.

- A Nancarrow i jego kompani? - odparował Jupiter.

- Oni pomagają naszym ludziom! Stwórca zrozumiałby to. Mieszkańcy wioski mieli ciężkie życie. Wszystko zmieniło się na lepsze, odkąd Nancarrow wydzierżawił tę część doliny.

- Trudno uznać chorobę za coś lepszego.

- Ona nie ma nic wspólnego z panem Nancarrowem - upierał się wódz. - Powtarzam raz jeszcze: wyjdź stąd natychmiast.

- Proszę spojrzeć na te pojemniki - ciągnął Jupiter. - Czuje pan smród wyziewów? W pojemnikach są toksyczne substancje. Mówiąc wprost: trucizny.

Wódz popatrzył na metalowe kontenery. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Pan Nancarrow powiedział, że przechowuje tu materiały wybuchowe. Moim zadaniem jest informować go, kiedy ktoś obcy pojawi się w rezerwacie. Nancarrow ma konkurentów, którzy zrobią wszystko, by przejąć jego interes. Dlatego prosił mnie, bym całą sprawę dzierżawy trzymał w sekrecie. Miałem nie wspominać nawet o posiadaniu walkie-talkie. Jeśli Nancarrow chce tu składować jeszcze inne rzeczy, to już nie moja sprawa. - Wódz przerwał na chwilę, po czym dokończył z uporem: - Współpraca z panem Nancarrowem jest dla nas bardzo ważna. Pieniądze otrzymane za dzierżawę ułatwiają życie członkom mojego plemienia.

- Ale za to odpady ich trują!

Wódz szturchnął Jupitera w plecy lufą swojej strzelby i warknął krótko:

- Wychodź!

- Nancarrow jest czarownicą, o której wspominał szaman - tłumaczył Jupiter, opuszczając grotę. - A ja nie wierzę, żeby pan naprawdę chciał mnie skrzywdzić.

Wódz zawahał się na moment, po czym znowu pchnął Jupitera lufą i doprowadził go do okręgu, gdzie czekał Nancarrow.

Ike Ladysmith cierpliwie tropił w lesie Boba i pana Andrews. Nie ulegało wątpliwości, że w końcu ich znajdzie.

Pete i Biff walczyli ze sobą w pobliżu strumienia. Chłopiec próbował odebrać bandycie broń, ale bez powodzenia.

- Siostrzeńcze! - krzyknął Amos Turner do Daniela.

Młody Indianin jak oszalały przekręcał kluczyk w stacyjce drugiej ciężarówce. Chciał ją uruchomić. George otworzył na oścież drzwi kabiny i celował w chłopca z karabinu.

- Skończ te błazeństwa! - zawołał wódz do Daniela. - Chodź tu do mnie!

Jupe zorientował się, że on i jego przyjaciele znaleźli się w pułapce. To tylko kwestia czasu, by Nancarrow rozkazał swoim ludziom zastrzelić pana Andrewsa i Trzech Detektywów.

Kiedy pozbędzie się już niewygodnych świadków, nic mu nie przeszkodzi w dalszym zatruwaniu doliny i mieszkańców wioski. Chorzy Indianie zaś będą ciągle szukać czarownicy, której nigdy nie znajdą. Odprawiają kolejne śpiewane obrzędy, otrzymają następne wiadomości.

No właśnie! Wiadomość! Szaman przekazał ją Danielowi podczas ceremonii: "Daj czarownicy to, czego pragnie, i wtedy ją zniszczysz".

Jupe rozejrzał się dokoła. Jeśli to Nancarrow jest tą czarownicą, pragnął wszystkich pojmać. Pierwszy Detektyw zastanowił się nad tym i zaczął mu kielkować w głowie pewien pomysł. Ryzyko było ogromne, ale nie miał wyboru.

- Daniel! Pete! Bob! Panie Andrews! - krzyknął. - Chodźcie tu! Poddajmy się!

- Nie ma mowy! - ryknął Pete. W tej chwili Biff uderzył chłopca w brzuch kolbą karabinu i pozbawił go tchu.

- Ani myślę! - zaprotestował Daniel, po czym natychmiast się zorientował, że George celuje prosto w jego serce.

Zza krzaków wynurzył się Ike Ladysmith, ciągnąc za kołnierz pana Andrewsa. Bob wyrósł tuż obok ojca.

- Chodźcie, chłopaki! - wołał Jupe. - Musimy się poddać.

Zdziwieni i rozzłoszczeni, szli w stronę rozjazdu. Ludzie Nancarrowa ostrożnie posuwali się za nimi.

- Pan wie, że Nancarrow zamierza nas zabić - zwrócił się do wodza Jupiter.

- Po prostu usunie was z rezerwatu - odparł Amos Turner, wciąż przekonany, że Jupiter przesadza.

- Tak jak kazał panu uszkodzić hamulce w ciężarówce?

- Słucham? - spytał wódz. - Widziałem pikapa w miejscu kraksy, ale nie... - Na

szerokiej, ponurej twarzy Indianina pojawił się nagle wyraz wątpliwości.

Kiedy wszyscy zgromadzili się już na okrągłym rozjeździe. Jupiter wskazał dłonią oryginalną srebrną klamrę przy pasku Daniela.

- Czy zna pan kogoś, kto miał taką samą ozdobę? - spytał wodza.

- Wuj Daniela - odparł natychmiast Amos Turner.

Młody Indianin wydobył z kieszeni klamrę, należącą niegdyś do jego krewnego.

- Jupiter znalazł ją w dolinie. Leżała obok szkieletu. W czaszce były ślady po kuli.

Biff zmartwiał.

- Mówiłem ci, że powinniśmy natychmiast załatwić tych gówniarzy i faceta, tak jak zrobiliśmy to ze starym Indianinem! - krzyknął do Nancarrowa i pobiegł ku ciężarówce.

- Wracaj, podły tchórze! - zawołał Nancarrow.

Nim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, wódz uniósł strzelbę. Padł strzał. Broń wypadła z rąk Biffa. Pete rzucił się na bandytę.

Amos Turner odwrócił się i wymierzył w Nancarrowa.

- Proszę poczekać! - błagał szef bandy. Upuścił na ziemię karabin i cofał się powoli.

- Zabiłeś mojego krewnego! - Rozwścieczony Amos Turner posuwał się w stronę przerażonego bandyty. - Teraz gotów byłeś zabić tych niewinnych ludzi!

Uderzył Nancarrowa strzelbą w brzuch. Kiedy zaatakowany zgiął się wpół, dołożył mu pięścią w szczękę. Bandyta zrobił zdziwioną minę, po czym zamknął oczy i nieprzytomny upadł na plecy.

Bob uniósł nogę, wykonał obrót i wspaniałym ciosem karate powalił na ziemię George'a.

Pete chwycił Biffa za ramię i obrócił nim dokoła. Kiedy mikrus zaczął tracić równowagę, otrzymał na dokładkę silne uderzenie w klatkę piersiową.

- Już dość! - zaskamlał, unosząc ręce do góry. - Poddaję się! Wykonywałem tylko polecenia szefa. Przysięgam.

Pete z grymasem obrzydzenia popchnął Biffa w stronę jego kompanów.

- Jestem waszym dłużnikiem. - Amos Turner zwrócił się do Trzech Detektywów. - Nie mogłem uwierzyć, że Nancarrow byłby zdolny do takiego draństwa.

- Bardzo się starał odgrywać rolę męża opatrznościowego waszej wioski -

powiedział pan Andrews.

- Wiele pan zawdzięcza również szamanowi. - Jupiter wyjaśnił wodzowi, że wiadomość, przekazana przez śpiewającego doktora, pomogła mu w podjęciu decyzji, co należy zrobić.

Daniel rozejrzał się po polance.

- Gdzie jest Ike?

Ike Ladysmith znikł w lesie jak duch.

- Nancarrow musiał mu płacić na boku - wyjaśnił wódz Danielowi. - To Ike majstrował przy hamulcach pikapa. Przez niego omal nie zginęli twoi przyjaciele.

- Teraz próbuje uciec - powiedział Daniel.

- Znajdę go - oznajmił zdecydowanym tonem Amos Turner. - Na razie zwiążemy tych drani i zapakujemy ich do ciężarówki.

- Do wozu kempingowego, jeśli można prosić - wtrącił pan Andrews. - W środku są ważne dokumenty, z którymi powinna zapoznać się policja. Dojedziemy całą grupą do Diamond Lake w tym samym czasie.

- Oczywiście - zgodził się wódz. - Weźcie ten wóz. Daniel pojedzie z wami. Wskaże wam drogę na posterunek policji.

- A co z Ikiem? - dopytywał się Pete.

- Mamy własną policję w rezerwacie - powiedział wódz.

- Wuj jest komendantem - wyjaśnił Daniel.

- Jeden z punktów naszej umowy z rządem Stanów Zjednoczonych brzmi, że sami zajmujemy się tymi z nas, którzy pogwałcili prawo. Rezerwaty mają odpowiednie upoważnienia. Sami również ścigamy i sędzimy naszych przestępców.

- Dziadek jest sędzią - dodał Daniel.

Nikt się nie zdziwił.

Sprawnie zwiążali Nancarrowa oraz jego dwóch podwładnych i umieścili ich z tyłu kempingowca. Turner przestawił blokującą drogę dużą ciężarówkę. Kiedy Pete ruszył, kierując się w stronę przecinki, wódz pomachał im ręką na pożegnanie. Na jego ponurej twarzy w końcu pojawił się uśmiech.

Amos Turner wyskoczył z kabiny ciężarówki, lekkim krokiem ruszył przed siebie i zniknął w lesie.

Daniel doprowadził przyjaciół do Diamond Lake tą samą drogą, którą opisywała wcześniej jego siostra Mary. Wydawało się, że od tej pory minęły wieki,

tymczasem miało to miejsce zaledwie dzień wcześniej.

Wjechali do niewielkiego kurortu. Mijali lśniące w słońcu baseny kąpielowe, korty tenisowe i pole golfowe, paradujących na koniach jeźdźców, wędrowców z jasnymi plecakami, spacerowiczów w sportowych strojach, przytulne pensjonaty i luksusowe hotele. Duży learjet schodził właśnie do lądowania na prywatnym pasie startowym.

- Nareszcie dotarliśmy do celu - westchnął Pete. - Chłopaki, udało nam się!

- Jestem głodny - oznajmił Jupiter.

- Muszę zatelefonować i wziąć kąpiel - powiedział pan Andrews.

- I pójść do lekarza - dodał z uśmiechem Bob.

Trzy dziewczyny stojące na chodniku zauważyły ten zniewalający uśmiech. Pomachały rękami i gwizdnęły.

Daniel zrobił zdziwioną minę.

- Dziewczyny gwizdzą na chłopaka? Czy nie powinno być odwrotnie?

- Cóż ja mogę na to poradzić? - Bob uśmiechnął się rozbijając do przyjaciół.

Pete odwrócił się na chwilę od kierownicy i cisnął w niego jedną z poduszek, leżących w samochodzie.

Jupe skoczył na Boba i powalił go na podłogę.

- Nie martw się - zwrócił się do Boba Daniel z kamienną powagą na twarzy. - Szaman mógłby odprawić nad tobą czary i uwolnić cię od tej strasznej odpowiedzialności za urok, jaki rzucasz na kobiety...

- Przestańcie, błagam! - Bob skręcał się ze śmiechu. - Jupe, złaż ze mnie! Może i schudłeś, ale nie aż tyle. Żadnych czarów, proszę! Oddaję wam wszystkie moje dziewczyny.

- Zgoda. - Jupiter wstał. - Opiszemy im całą sprawę ze szczegółami. Jestem pewien, że dziewczyny zaciekawia, jak formowały się Sierra. Tak przy okazji, czy wiecie, że sierra to po hiszpańsku góry? Kiedy więc mówisz Sierra Mountains, to jakbyś dwa razy powtórzył to samo, czyli...

Wszyscy jęknęli głośno. Pete dojeżdżał właśnie do posterunku policji w Diamond Lake.